

czd 2552/1977/13

ŚWIADOMOŚĆ I POSTAWY

Prof. dr Andrzej Burda
prof. dr Zdzisław Cackowski
doc. dr Zygmunt Mańkowski
doc. dr Mieczysław Marczuk

ul. Warszawska 13-15
UMCS
LUBLIN

TRAGIKOMEDII OMYLEK - FINAL

Tadeusz Kur

str. 12

Łapki na myszy

Marian Pilot

str. 8-9

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 26 VI 1977 Nr 13 (629)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

BASENY Są czy nie ma?

Maciej Podgórski

OD roku 1972 istnieje w Lublinie program rozwoju obiektów rekreacyjno-turystyczno-sportowych miasta w latach 1972—2000, sformułowany przez ówczesnego przewodniczącego MKKFIT, Jerzego Pawłowskiego, a oparty — czytamy w wstępie — na rozmaitych i licznych analizach, opracowaniach, ekspertryzach, zleconych uchwałami odpowiednich instancji. Dokument, którego autorzy nie twierdzą, że przestał dziś obowiązywać.

Istniejące w chwili powstania programu normatywy GKKFIT stanowią, że takie miasto jak Lublin powinno posiadać jedną pływalnię krytą na 50 tysięcy mieszkańców oraz jedną otwartą na 20 tysięcy, czyli w roku 1971, wyjściowym dla programu, Lublin musiałby mieć trzynaście pływalni otwartych oraz pięć krytych; miał natomiast jedną krytą (ówczesny WOSTiW) oraz dwie otwarte (przy liceum im. Staszica i przy ul. Grotgera).

Jerzy Pawłowski jest obecnie dyrektorem Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Lublinie i informuje mnie, że nie wliczono wtedy do stanu posiadania trzech czynnych basenów otwartych, ponieważ: pływalnia przy ul. Lubomelskiej była przewidziana do likwidacji w związku z budową trasy W-Z, pływalnię przy szkole podstawowej na ul. Bronowickiej władze uparcie traktowały jako zbiornik przeciwpożarowy, pływalnię cukrowni przy

ul. Krochmalnej co chwila zamykały organa sanitarno-epidemiologiczne.

Program więc oceniał bardzo ostrożnie wyjściowy stan posiadania. A jeszcze ostrożniej perspektywy na przyszłość, skoro przewidywał, że w roku 1985 Lublin będzie miał tyle pływalni, ile powinien mieć w roku 1972 — trzynaście otwartych, pięć krytych. Do roku natomiast 1975 planowano powiększenie stanu posiadania o jeden basen kryty oraz pięć otwartych, też jakby realistycznie.

Pouczające jest czasem skonfrontować z rzeczywistością wczorajsze programy rozwoju. Wpiew o pływalniach, których nie wliczono w wyjściowy stan posiadania.

Basen przy ul. Lubomelskiej, dość prymitywny zresztą, z drewnianymi ścianami bocznymi, zasilany nieczystą wodą z rzeczki, zlikwidowano w związku z budową trasy W-Z, zgodnie z przewidywaniami.

Basen przyszkolny przy ul. Bronowickiej jakoś funkcjonował do zeszłego roku, choć nie posiadał odpowiedniego zaplecza sanitarnego (miał suche szambo), chloratorni. Inspektor Gustaw Surmacz, kierujący Wydziałem Oświaty i Wychowania Urzędu Miejskiego w Lublinie, twierdzi, że w związku z tymi brakami pływalnię trzeba było zlikwidować. Miejscowa niewias-

Dokończenie na str. 6



Stanisław Zaleski, „Autoportret z syfonem”, olej, ok. 1930. Patrz artykuł „Cheim przypomina Zaleskiego” str. 4.

Regionaliści

Arkadiusz Kossowski

TRUDNO doprawdy zbilansować i Kongres Regionalnych Towarzystw Kultury, który na początku czerwca obradował w Olsztynie z udziałem około 200 delegatów, reprezentujących 544 stowarzyszenia liczące ponad 250 000 członków. Trzy referaty programowe — Bohdana Kurowskiego z „Pojezierza”, Bronisława Gołębiowskiego i Jerzego Kosaka, kilkanaście, jeśli nie więcej, wypowiedzi w dyskusjach plenarnych i około stu wystąpień w czterech komisjach — to prawdziwy potop informacji, opinii, poglądów, w którym nielato odszukać bardziej jednorodne nuty, nie mówiąc już o ich hierarchizacji. Stwierdzenie, że problemem koncentrującym uwagę uczestników Kongresu była formuła współczesnego regionalizmu i jego miejsce w polskim życiu spo-

łecznym, acz prawdziwe, niczego jeszcze nie wyjaśnia. Jedną i tą samą sprawą widzianą z odmiennych perspektyw, pod innymi kątem, w kontekście zróżnicowanych doświadczeń poszczególnych dyskutantów komplikuje się w odbiorze neutralnego, w pewnym stopniu, obserwatora.

W Kongresie brali udział przedstawiciele towarzystw, które istnieją kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt, a nawet

więcej lat. Prezes Towarzystwa Naukowego Plockiego z dumą akcentował, że TNP powstało w 1820 roku i metryką ustępuje tylko podobnym organizacjom założonym na początku XIX wieku w Krakowie, Warszawie i Lublinie (1818). Również dyrektor krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, Ignacy Trybowski, przypomniał 125-letnią biografię tej zasłużonej instytucji. Warto też wiedzieć,

że w gmachu olsztyńskiego Komitetu Wojewódzkiego PZFR spotkali się delegaci stowarzyszeń właściwie nieporównywalnych pod względem profilu, liczebności i stopnia organizacji. Obok ludzi ze stowarzyszeń miłośników miasta i regionu zasiadali przedstawiciele społecznych instytucji przyjaciół nauk, sztuk pięknych, muzyki, fotografii, filmu, zabytków i muzeów, kultury i oświaty. Niektóre z nich liczą po 30 członków, inne, przede wszystkim sferderowane w skali województw, po kilka tysięcy. Te wielkie towarzystwa dysponują nierzadko pokaźnymi dotacjami i etatową kadrami, gdy tymczasem mniejsze na własną rękę ciążą groź do groź, nie marząc nawet o etatach, jak to jest w przypadku To-

Dokończenie na str. 4—5

Z NOTATNIKA

8 VI. W Warszawie zakończyła się VIII Plenum KCPZR. Tematem obrad problem doniosły — mieszkania. Jak słusznie podkreślił Edward Gierk kwestia mieszkaniowa stanowi obecnie decydujące ogniwo w procesie rozwiązywania społecznych problemów naszego narodu. Od rozwiązania tej kwestii w niewielkim stopniu zależy szczęście wielu młodych rodzin, liczebność przyszłego pokolenia, jego pomysłowość i wychowanie. Prasa opublikowała referat Biura Politycznego KC, wygłoszony przez premiera Piotra Jaroszewicza. Nad referatem wywiązała się dyskusja. Z ciekawszych głosów notuję:

RYSZARD BRYK (Skierniewice): — Zasada priorytetu budownictwa mieszkaniowego w gospodarce narodowej musi znaleźć bardziej konsekwentne potwierdzenie w realizacji programu przez wszystkie ogniwa decyzyjne i wykonawcze. Jednostki gospodarcze, realizujące zadania w przemyśle mieszkaniowym, są obecnie w stanie produkować materiały i wyroby wystarczające do wykonania w ciągu roku do 300 tys. mieszkań. Oznacza to, że nie wszystkie one priorytetowo potraktowały potrzeby budownictwa mieszkaniowego.

LECHOSŁAW GRUSZCZYŃSKI (Poznań): — Wstydliwym, a może i drażliwym tematem są koszty w budownictwie. Musimy dostrzegać to zjawisko. Np. przewozy prefabrykowanych płyt z jednego krańca Polski na drugi — przy występowaniu wysokiego deficytu mieszkań, w rejonie, skąd wysyła się te płyty — latają braki tylko chwilowo, powodują zwiększone koszty i poważne obciążenie dla transportu.

JERZY MAJEWSKI (Warszawa): — Okazało się, że stosowanie uprzedmiotowionych metod budownictwa nie musi prowadzić do sztampy i monotonii. Pozytywnym przykładem są tu zrealizowane w Warszawie osiedla Ursynów czy Wilanów II.

TADEUSZ KOŚCIEWSKI (Białyn. gm. Łomazy, woj. białkopodlaskie): — Zwiększeniu tempa budownictwa mieszkaniowego na wsi nie sprzyja zbyt sztywny przydział kredytów przez banki spółdzielcze. Na budownictwo inwestycyjne kredyty wynoszą 75 proc., zaś na mieszkalne — 25 proc. Moim zdaniem, podział ten powinien być bardziej elastyczny.

ANTONI WRÓBEL (Płock): — Żadnej sankcji nie ma przedsiębiorstwo wobec tych pracowników, którzy otrzymali mieszkania zakła-

dowe i rozwiązały umowę o pracę. Wprawdzie w myśl przepisów taki pracownik powinien zwolnić zajmowany lokal, ale zakład pracy jest zobowiązany przekwaterować go do innego, równorzędnego lokalu zastępczego. Jest to jednak teoria, w praktyce zaś przedsięwzięcie — w naszych przynajmniej warunkach — niewykonalne. Z tego tylko powodu nasze zakłady tracą bezpowrotnie 30 do 40 mieszkań w ciągu roku (mowa o Mazowieckich Zakładach Rafinerii i Petrochemii).

STANISŁAW GĘBALA (Tarnów): — Nie bez znaczenia jest oblicze naszej wsi. Nowo budowane obiekty, szczególnie mieszkalne, są ciężkie, materiałochłonne i nieestetyczne, często wzorowane na rozwiązaniach miejskich. Za ten stan rzeczy nie możemy winić samego rolnika. Częstokroć chce on budować inaczej, krytycznie musimy jednak stwierdzić, że nie zapewniłmy wystarczającego zestawu dobrych projektów typowych. Nie zabezpieczamy w pełni nowoczesnych prefabrykowanych elementów budowlanych dla wsi.

Głosy można mnożyć. W dyskusji było wiele głosów krytycznych. Problem jest poważny, nabrzmiały. Już np. w przedwojennej Warszawie byliśmy na jednym z ostatnich miejsc wśród stolic europejskich pod względem wskaźnika osób przy padających na jedną izbę. Warszawa legła w gruzach. Odbudowaliśmy ją, ale obecnych potrzeb nie można porównywać z potrzebami dawnymi. Dziś urodzeni w powojennym wyżu zakładają rodziny. Własne mieszkanie stało się warunkiem społecznego awansu. Partia czyni wszystko, aby problem mieszkaniowy można było w Polsce rozwiązać jak najszybciej. Temu też służyło ostatnie Plenum KC.

10 VI. Co najmniej dziwny jest sposób relacjonowania informacji z Polski przez prasę zachodniemiecką. Jeden z polskich dziennikarzy zauważył, że taka np. impreza jak Wycieczka Pokoju, w którym zresztą występował i zawodnicy RFN, prawie w ogóle nie zainteresowała działów sportowych w gazetach. Zaledwie trzy (!) dzienniki zamieściły o niej kilkuwierszową notatkę. Prasa zachodniemiecka przemilczała też takie wydarzenie, jakim było Zgromadzenie Budowniczych Pokoju w Warszawie. Ba! W Gdańsku trwały „Dni Hamburga”. Wybrało się nań ponad 40 dziennikarzy z RFN. I co? Temat został zignorowany. Ale czy prasa zachodniemiecka nie pisze o Polsce? Pisze,

zwłaszcza dzienniki z koncernu Springer. W naszych szczupłych pod względem objętościowym gazetach nie starczyłoby miejsca, gdybyśmy chcieli demaskować każde kłamstwo, każdą bzdurę, gdybyśmy zapragnęli rozwinąć polemikę. Turysta z RFN potrafi przyjechać do naszego kraju z żarówką, bo przeczytał, że w warszawskich hotelach trzeba sobie samemu świecić. A jednocześnie ciągle głosi się, że narody powinny się lepiej poznać. Chciałoby się zapytać: a co panowie robią w tym kierunku?

13 VI. Pani prezydentowa Carter zakończyła podróż po krajach Ameryki Łacińskiej. Syn prezydenta, Chip, wraz ze swą żoną, Caron, reprezentował Stany Zjednoczone podczas uroczystości, zorganizowanych z okazji 25-lecia wstąpienia na tron Elżbiety II. Carter oświadczył: *Myszę, że można powiedzieć, iż jestem w stanie wysłać Chipa do Indii, aby reprezentował mnie, gdy umrze prezydent Indii, albo wysłać go do Chin z delegacją Kongresu bez obawy, że popełni błąd. [...] To samo myślę o swojej żonie i innych moich dzieciach...* Z tego wniosek, że im większa rodzina, tym lepiej prowadzić politykę zagraniczną. Podobnie myślał widocznie premier brytyjski, wysyłając swego zięcia w charakterze ambasadora do USA. Przykład płynie zza Oceanu.

15 VI. Rozpoczyna się spotkanie belgradzkie. Rozpoczyna się w dwa lata po zakończeniu Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Na razie — etap przygotowywawczy z udziałem przedstawicieli ministrów spraw zagranicznych uczestniczących w niej państw. W czasie tego etapu powinny zostać podjęte decyzje w sprawie daty, okresu trwania, porządku dziennego i innych warunków zasadniczego spotkania. Na porządku dziennym stanie więc szereg spraw natury organizacyjnej, proceduralnej, nie mniej bardzo ważnych, bowiem sukces Belgradu w dużej mierze będzie zależał właśnie od tej wstępnej fazy.

Nasze stanowisko jest jasne, bez niedomówień. Uważamy, że punktem wyjścia musi stać się Akt Końcowy KBWE w Helsinkach, dokument o historycznej doniosłości, wielka karta europejskiego pokoju. Ów Akt Końcowy powinien być rozważany jako całość. Niektóre koła na Zachodzie próbują wyrwać z kontekstu pewne zagadnienia, prowadząc określoną kampanię polityczną. Pisze właśnie na ten temat w „Trybunie Ludu” Maciej Szczepański w artykule pt. „Prawa człowieka — do czego?” Trudno streścić ten obszerny, niezmiernie ciekawy materiał, mogący chyba stanowić wzór klarownego wyrażania myśli i odpowiedniego dobierania

argumentów. Warto sięgnąć do „Trybuny Ludu” z dnia 13 czerwca...

Telewizja przyniosła wiadomość o przyjeździe do naszego kraju w lipcu br. (na oficjalne zaproszenie) sekretarza generalnego ONZ, Kurta Waldheima. Przed kilkoma dniami Waldheim wygłosił przemówienie w Ohio z okazji nadania mu honorowego doktoratu uniwersytetu stanowego Kent. Adresował je do absolwentów rocznika 1977 tej uczelni. Sekretarz generalny ONZ stwierdził, że znajdujemy się w punkcie zwrotnym, być może jeszcze ważniejszym od tego, który przyniósł ogromne zmiany z końcem drugiej wojny światowej w 1945 roku. Wszystkich nas dotyczy fakt, że różnica dochodów krajów bogatych i biednych wyraża się stosunkiem 12:1 i nie wykazuje tendencji zmniejszania się. Liczba mieszkańców naszej planety wzrosła z 2 do 4 miliardów i to w okresie niewiele dłuższym niż życie jednej generacji. Prognozy zakładają, że pod koniec bieżącego stulecia liczba ta wzrośnie do 7 miliardów. Wydatki na zbrojenia wzrosły do 350 miliardów dolarów rocznie i nie widać końca tego wzrostu. Oceany i powietrze są zanieczyszczone. Konflikty zawierające w sobie zarodki strasznych katastrof nadal istnieją na Bliskim Wschodzie, Cyprze i w Afryce Południowej. Zamykanie oczu na te niebezpieczne elementy sytuacji oznaczałoby odwrót od rzeczywistości. Nie możemy również ignorować faktu, że młodzież, która dziś kończy studia, startuje w momencie, gdy sytuacja ekonomiczna świata gwałtownie się pogorszyła. Niedostatek energii, inflacja, bezrobocie i poważne fluktuacje cen surowców znajdują się wśród problemów, które podkreślają braki systemu, ustanowionego w Bretton Woods przed przeszło 30 laty. (Dla przypomnienia: w Bretton Woods odbyła się konferencja zorganizowana przez ONZ poświęcona sprawom walutowym i finansowym.

Powołano na niej Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju oraz Międzynarodowy Fundusz Walutowy).

Nie jest to obraz zbyt optymistyczny, mówiąc delikatnie. Ale — chociaż Waldheim kropki nad „i” nie stawia — w obrazie tym można dostrzec krytykę współczesnego kapitalizmu...

Kończę moje zapiski nieco wcześniej niżby to z harmonogramu „Kamena” wynikało. Jadę do Szczecina na 30-lecie „Głosu Szczecińskiego”, gazety zawsze sercu memu drogą, bo poświęciłem jej siedem lat życia. Ale to już czytelnika najmniej obchodzi.

MAJ

„MIEJDUNARODNAJA ŻYZŃ” O POLITYCE PEKINU

POLITYKA zagraniczna Chin po zgonie Mao Tse-tunga pozostaje bez zmian — stwierdza w 6 numerze br. „MIEJDUNARODNAJA ŻYZŃ”. Jeśli na temat linii w polityce wewnętrznej kierownictwa chińskiego po śmierci Mao nadal toczą się dyskusje, które dają zachodnim dziennikarzom podstawy do twierdzeń o „demaiozacji” i tendencjach do „korekty” niektórych posunięć Mao, to polityka zagraniczna — jak to podkreślają sami przywódcy ChRL — jest kontynuowana bez zmian.

Pekin bezustannie deklaruje wierność wobec dziedzictwa, jakim jest „linia Mao Tse-tunga” w polityce zagranicznej. Linia ta — jak stwierdzono na październikowym (1976 r.) Plenum KC KCPZR — na przestrzeni ostatnich 15 lat wystarczająco zdyskredytowała się na całym świecie. Obecnie kierownictwo chińskie kontynuuje otwarcie wrogi wobec socjalizmu kurs w srodkach masowej propagandy i na wszelkie sposoby przeciwdziała wysiłkom państw socjalistycznych, których celem jest rozbrojenie i utrwalenie pokoju; w usiłowaniach tych kierownictwo ChRL jednozy się z siłami imperializmu i reakcji.

Na arenie międzynarodowej — pisze dalej „Miejdunardnaja Żyzń” — Peking nie zaprzestaje prób zawiązania szerokiego sojuszu antyradzieckiego. W tym celu gotów on jest zjednoczyć się nie tylko z partiami i organizacjami maoistowskimi, działającymi za granicą, wszelkimi autoramentu anarchizmami i ekstremistami, lecz także z przedstawicielami junty chilijskiej, zachodniemieckimi rewizjonistami oraz południowoafrykańskimi rasistami.

Jedynym kryterium, jakie stosuje Peking przy wyborze swych sojuszników, jest wrogi stosunek do Związku Radzieckiego.

Obecnie kierownictwo chińskie kontynuuje wysiłki, mające na celu zbliżenie ze Stanami Zjednoczonymi i innymi państwami kapitalistycznymi na bazie antyradzieckości. W swej polityce antyradzieckiej — stwierdza dalej „Miejdunardnaja Żyzń” — Peking występuje, obiektywnie rzecz biorąc jako wspólnik imperializmu.

Przeciwko pokojowi

W Europie — kontynuuje czasopismo — wezwania Pekinu do umocnienia NATO i EWG w obliczu „radzieckiego zagrożenia”, kokietywanie działaczy politycznych o reakcyjnym i konserwatywnym obliczu, znanych ze swej antyradzieckiej postawy i wrogości wobec odprężenia, w pełni odpowiadają imperialistycznemu kursowi, którego celem jest wzmacnianie potencjału wojennego NATO oraz innych bloków wojskowo-politycznych.

W Azji Peking występuje „w jednolitym froncie” z siłami imperializmu za utrzymaniem obecności wojskowej USA na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim za umocnieniem w tym rejonie systemu amerykańskich baz pod pretekstem przeciwdziałania rozszerzaniu wpływów ZSRR; Peking występuje również przeciwko postulatowi zbiorowego bezpieczeństwa na tym kontynencie.

Przywódcy ChRL otwarcie występują w charakterze apologetów nowej wojny światowej i z tego

powodu sprzeciwiają się wszelkim przedsięwzięciom w dziedzinie rozbrojenia. Peking nie tylko próbuje zablokować ideę odprężenia, lecz także, spekulując na „zagrożeniu ze strony ZSRR”, realizuje kurs na militarzację kraju, wzmagając wysiłki w celu wzmocnienia swego potencjału rakietowo-nuklearnego i kontynuuje próby z bronią jądrową.

Czy nie jest rzeczą jasną, że wyścig rakietowo-nuklearny, prowadzony przez Chiny nie bez aprobaty kół wojenno-przemysłowych USA, RFN, Francji, Japonii i Wielkiej Brytanii ma na celu stworzenie zagrożenia nie tylko dla Związku Radzieckiego i innych państw sąsiadujących z Chinami, lecz także dla sprawy ogólnoswiatowego pokoju? — zapytuje „Miejdunardnaja Żyzń”.

Żadne wysiłki, mające na celu podciągnięcie ideologii maoizmu pod marksizm-leninizm, jej rehabilitowanie i wybielenie, nie są w stanie obalić bezspornego faktu, iż maoizm przynosił i przynosi ogromny uszczerbek sprawie socjalizmu w Chinach i na całym świecie. Jedności międzynarodowego ruchu komunistycznego i robotniczego oraz walce narodów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej o wyzwolenie narodowe.

Nowe kierownictwo ChRL i propaganda chińska — stwierdza „Miejdunardnaja Żyzń” — próbują zrzucić na „czterooosobową bandę” wszystkie winy za niepowodzenia polityczne i gospodarcze. Jednakże, nie wyzwoliwszy się z pięć maoistowskich dogmatów, kierownictwo chińskie nie jest w stanie uczynić kolejnego kroku — przedstawić swojemu narodowi taki konstruktywny program społeczno-gospodarczy, który korzystnie różniłby się od ogólnikowych sformułowań X zjazdu KPCh (1973 r.) i ostatniej sesji OZPL (1975 r.) jasnością celu i wytyczną na konkretną drogę do jego zrealizowania. Dotychczas z opublikowanych wystąpień przywódców oraz materiałów prasy ChRL wynika, że przed narodem chińskim stawia się tak jak dawniej zadanie kontynuowania „walki klasowej”, umocnienia maoistowskiego porządku i stworzenia silnego supermocarstwa na bazie nacjonalizmu.

ŚWIADOMOŚĆ I POSTAWY

Świadomość narodowa i państwowa, postawy Polaków zarówno wobec historii naszego narodu jak i dnia dzisiejszego — to niezwykle ważne, a wciąż jeszcze nie doceniane problemy. Na ten właśnie temat Komitet Uczelniany PZPR na UMCS zorganizował spotkanie dyskusyjne, które zagalif prof. dr Andrzej Burda. Poniżej zamieszczamy streszczenie tego zagajenia jak również trzech wystąpień dyskusyjnych, sądząc, że dla wielu naszych czytelników będzie to punkt wyjścia do dalszych przemyśleń.

Podobne spotkania, już na bardziej szczegółowe tematy, będą organizowane w nowym roku akademickim przez członków partii z poszczególnych wydziałów. Powstał także zespół do spraw badań postaw studentów, który co roku będzie analizował postawy tej samej grupy studentów.

PROF. DR ANDRZEJ BURDA:

POJĘCIE świadomości państwowej jest tylko do pewnego stopnia równoznaczne z pojęciem świadomości politycznej — ta ostatnia jest starsza i szersza. Szukając odpowiedzi na pytanie, co to jest świadomość państwowa, trzeba zwrócić uwagę na trzy momenty. Pierwszy jest najbardziej istotny: jest to sfera szczególnej świadomości społecznej, dotycząca stosunku społeczeństwa do aktualnej struktury państwowej. Nie tyle do jej organizacji, ile do funkcjonowania mechanizmu państwowego i metod realizowania funkcji państwowych. Tak jest w społeczeństwach jednorodnych. Natomiast tam, gdzie istnieją klasy społeczne, będziemy mieli różne ustosunkowania się poszczególnych klas.

Drugi moment: stosunek ten może być pozytywny lub negatywny. Wiadomo, że w państwach kapitalistycznych klasa robotnicza ma stosunek negatywny, co znalazło echo w słowach pieśni robotniczej „Rząd nas uciska, kłamia prawa”. Bo prawo nie jest wyrazem woli tej klasy, a rząd to siła obca, którą należy obalić. Ale w tych państwach istnieją także inne klasy, jeszcze dominujące, które akceptują istniejącą strukturę i w ten sposób utrzymują państwowość danego typu. Świadomość państwowa polega na przeświadczeniu społeczeństwa czy jego panujących grup społecznych, że państwo przynosi pożytek, zaspokaja potrzeby materialne i duchowe, urzeczywistnia takie cele, które są przez te klasy dominujące akceptowane.

Trzeci moment nie mieści się w pojęciu świadomości państwowej, ale jej towarzyszy: to spłot uczuciowy. Dominującym uczuciem, które mieści się raczej w pojęciu psychologii społecznej, jest patriotyzm. Często świadomość państwowa nie jest jeszcze dojrzała, ale patriotyzm, umiłowanie swego kraju, jego instytucji politycznych, tradycji narodowej potrafi dawać konkretne efekty. Wykorzystanie tego spłotu uczuciowego umożliwia rządzącym oddziaływanie na kształtowanie świadomości państwowej. Jeżeli zbagatelizują ten czynnik, sami poniosą konsekwencje. Chodzi oczywiście nie o patriotyzm zawarty w deklaracjach i deklamacjach. Warto przypomnieć słowa z referatu Biura Politycznego na I Kongresie PPR w grudniu 1945 r.: „Patriotyzm jest piękną ideą, choć wyrażać się powinien nie w słowach lecz w czynach, jako uczucie, postawa społeczna. Te postawy czerpią swą siłę z umiłowania kraju ojczystego, z troski o pomysłowość i wolność narodu”. Jest to aktualne do dzisiaj.

Każda świadomość państwowa ma charakter klasowy, każda formacja ma swoją świadomość. Rozwija się ona bądź ewolucyjnie w obrębie danej formacji, bądź następną formacją odrzuca to w sposób rewolucyjny i przyjmuje inną. Marksizm nie może mieć nic wspólnego z głoszonym czasem poglądem, że świadomość państwowa ma swoje źródło w jakimś instynkcie, że powstaje w sposób abstrakcyjny w oderwaniu od istniejącego podłoża polityczno-społecznego.

Nasza państwowość zyskała wielką szansę, ponieważ zostały osiągnięte warunki uzyskania, rozkrzewienia, rozwoju świadomości zgoła nowego typu, dające znacznie większe gwarancje przyszłości narodu, aniżeli miało to miejsce w okresie międzywojennym. Świadomość państwowa II Rzeczypospolitej była kontynuacją świadomości okresu szlacheckiego. Istniała nadal szlachta zagrodowa, przetrwał elitaryzm, utrwalony nawet w konstytucji kwietniowej.

Rok 1939 był klęską państwowości, ale nie klęską narodu, rozproszył złudzenia pewnych kręgów społecznych co do wartości moralnych, moralności politycznej, historycznej wartości państwowości obszarniczo-burżuazyjnej. Powszechnie było, poza wąską grupą, potępienie reżimu sanacyjnego. Nie znaczy to, że wszyscy od razu schodzili na pozycje antykapitalistyczne, ale na antyfaszystowskie na pewno. Powstanie frontu narodowego, który stwarzał przesłankę do ustabilizowania, do pogłębienia świadomości państwowej, łączyło to z hasłem o wyzwolenie społeczne. Lud pracujący, robotnicy i chłopci, wszyscy ludzie pracy, stanowiący substancję państwowości, zostali podniesieni do rangi podmiotu polityki, są dziś gospodarzami, czują się współwłaścicielami dóbr duchowych i materialnych społeczeństwa. Do aparatu państwowego weszli nowi ludzie, robotnicy i chłopci, ich synowie i to przesądziło, że mamy obecnie do czynienia z taką świadomością państwową, jaka nie była możliwa do zrealizowania w poprzednich formacjach naszej historii.

I chociaż w poglądach na szczegóły mogą być różnice, dokonaliśmy rzeczy fundamentalnej, tworząc pomysłne warunki prawidłowego kształtowania się świadomości państwowej naszego społeczeństwa, a pośrednio kształtowania się — co już jest pochodną świadomości państwowej — prawidłowych postaw obywatelskich. Postawy nie są czymś incydentalnym, przypadkowym, lecz wynikają z utrwalonej, ustabilizowanej świadomości państwowej, w szerszym znaczeniu — ze świadomości politycznej.

Jakie są obiektywne przesłanki umacniania tej świadomości i jej pogłębienia, aby była dojrzała, trwała, wartościowa, aby istniała także dla przyszłych pokoleń? To przede wszystkim zrealizowanie założeń socjalizmu w dziedzinie społeczno-ekonomicznej. Takie zjawisko jak np. industrializacja przyczynia się do integracji społeczeństwa. Technika, służąc wszystkim, kształci wspólne myśli, wspólne poglądy. Obiektywną przesłanką jest także to, że w przeciwieństwie do okresu międzywojennego jesteśmy państwem jednonarodowym. Wprawdzie nie jest jeszcze najlepiej z kulturą polityczną, cho-

ciaż zasadniczych zmian tu już dokonaliśmy. Jeżeli chodzi o kulturę polityczną klasy robotniczej, to jest ona wysoka. Pewnym hamulcem, moim zdaniem, jest tu niekiedy biurokracizm aparatu administracyjnego, którego niektórzy przedstawiciele własność, społeczną traktują jak własny folwark.

Wszelki postęp w realizacji demokracji socjalistycznej jest niewątpliwie krokiem do umacniania stabilności państwowej. Najbardziej aktualne określenie demokracji nowego typu jest zawarte w pracy Karola Marksa pt. „Krytyka programu Gotajskiego” — nadrzędność społeczeństwa nad aparatem państwowym. Powtórzył to Lenin na II Zjeździe Rad. Siła państwa kapitalistycznego polega na silnym aparacie państwowym, który trzyma w cuglach społeczeństwo i komenderuje nim. Państwo socjalistyczne natomiast zapowiada i reprezentuje inną siłę. „Państwo jest silne świadomością mas” — to znaczy, że masy o wszystkim wiedzą, o wszystkim mogą wydać swój sąd, wszystko

kontrolują, krótko mówiąc jest to cały program budowy demokracji socjalistycznej. A demokracja socjalistyczna to podstawowy warunek właściwego kształtowania postaw obywatelskich.

Jeżeli chodzi o szkoły wyższe, co nas tu szczególnie interesuje, to — moim zdaniem — nie wypełniają one w dostatecznym stopniu swojego zadania wychowawczego. U młodzieży widoczna jest coraz słabsza znajomość historii naszego narodu, są nawet wypowiedzi zenujące jeżeli chodzi o historię Polski Ludowej. A przecież znajomość historii własnego narodu to jeden z ważnych czynników kształtowania postaw obywatelskich. Pokolenie, nie znające historii własnego narodu, to jak ludzie, którzy popadli w amnezję, ono nie będzie w stanie określić swojej osobowości narodowej i historycznej. Zmieniamy teraz programy nauczania na wyższych uczelniach, oby dobrze i na długo. Jeżeli tak będzie, można się spodziewać znacznej poprawy.

DOC. DR ZYGMUNT MANKOWSKI

TRZEBA sobie przede wszystkim uświadomić, do kształtowania jakiego modelu człowieka dążymy. Ten problem przewija się w wielu wystąpieniach Edwarda Gierka. Stoimy przed poważnym zadaniem wykształcenia nowych cech osobowości, adekwatnych do epoki socjalizmu. Prof. Burda trafił w istotę zagadnienia: człowiek ten powinien być wyposażony m. in. we właściwą świadomość państwową.

Ale w jakie jeszcze inne elementy? Można zrobić na ten temat kilka podobnych spotkań, poświęcając je wybranym zagadnieniom, jak np. nowa moralność socjalistyczna, o której mówi się dość enigmatycznie, kształtowanie nowej obyczajowości, osiągnięcie określonego poziomu kultury, stosunek do pracy. W każdej z tych dziedzin mamy jeszcze poważne braki. Podstawowa część społeczeństwa nie wykazuje się tu, niestety, odpowiednim poziomem na dziś, a co dopiero mówić o przyszłości.

Przed problemem kształtowania postaw człowieka przyszłości socjalizmu stają wszystkie kraje. Jest w tym także sprawa specyficznych cech danego narodu. Warto się więc zastanowić także nad możliwością przezwyciężenia tych cech charakterologicznych Polaków, które zderzają się z modelem człowieka epoki socjalizmu, tj. człowieka przyszłości. A niestety tych elementów specyficznie polskich jest dużo. Udowodnimy, że są to relikty przeszłości, specyfika naszej inteligencji, że pijemy bo... nie szanujemy prawa bo... Wiele tych cech stwarza poważne komplikacje. Jakie elementy należy w naszych

warunkach uwypuklić lub zmienić przy pomocy wszystkich możliwych i umiejętnie stosowanych środków, jakie zabiegi dydaktyczno-polityczne trzeba przedsięwziąć, aby młode pokolenie wykształciło nieco inaczej, niż jest średnio?

Niektórzy twierdzą, że wśród młodzieży przejawiają się postawy niewłaściwe. Podczas pobytu u nas pracowniczka naukowa z Moskwy zwróciła np. uwagę na niesportowy tryb życia naszej młodzieży, była zdziwiona pustkami w obiektach sportowych, zauważyła małe zdyscyplinowanie. Znacząco to m. in., że młodzież jeszcze w szkole średniej nie jest wyposażona w pewne niezbędne predyspozycje, postawy, samodyscyplinę. Istnieje kult średniaka, przeżąda chęć uzyskania czegoś małym wysiłkiem, ograniczoną pracą. Grupa wiodąca jest zbyt szczupła i jakby izolowana. Przed kilku laty stwierdziliśmy, że dla teatru czy filharmonii nasza młodzież studencka właściwie nie istnieje. Warto zbadać, jak jest dzisiaj. Jaką prasę czyta młodzież, czy interesuje się tymi tytułami, w których dajemy jej dużą porcję rzeczy koniecznych, kształcących jej świadomość? Zresztą chodzi tu nie tylko o studentów, ale także i szersze grupy społeczne.

To, o czym mówię, to są właściwie propozycje dla dalszych spotkań. Trzeba kontynuować i pogłębiać cykl naszych rozmyślań na temat kształtowania postaw człowieka, obywatela przyszłości. To jest wielki problem nie tylko Polaków, ale całego obozu socjalistycznego.

PROF. DR ZDZISŁAW CACKOWSKI

JEŻELI podstawową przesłanką ustroju socjalistycznego jest to, że ludzie mają uzyskiwać wartości poprzez pracę, to podstawową rzeczą w postawie człowieka, nawyk pracy, motyw pracy i chęć pracy. Czy kształtujemy taką postawę? Co temu sprzyja albo nie? Kształtowanie socjalistyczną osobowość to znaczy uczyć pracy. Nie śmiałbym powiedzieć, że jako nauczyciel filozofii mam tu większe osiągnięcia niż np. nauczyciel fizyki, może nawet jestem w gorszej sytuacji. Czy więc ja i moi koledzy spełniamy to zadanie w sposób maksymalny? Na pewno chcemy, ale rów-

nocześnie są kłopoty i niedociągnięcia.

Postawa socjalistyczna to także taka postawa, która oczekując społecznych satysfakcji, łączy je ze swoją pracą. Chodzi o to, aby nie oczekiwać więcej niż się samemu wkłada, aby mieć świadomość, że droga do osobistych satysfakcji materialnych i moralnych wiedzie tylko poprzez pracę.

Aby kształtować świadomość socjalistyczną, trzeba dawać satysfakcję nie tylko jednostce. Nie ma nie

Dokończenie na str. 4

Kamena str. 3

Dokończenie ze str. 3

bardziej destrukcyjnego w pracy, niż zorganizowanie jej tak, aby nie miała ona sensu, np. gdy przesypuje się piasek z miejsca na miejsce, a potem z powrotem. Aby praca utwierdzała człowieka w jego dobrej postawie, musi ona dobrze funkcjonować społecznie. Jeżeli dziesięciu pracuje godzinie, to dziesiąty może wszystko zepsuć. Eliminowanie mechanizmów, które jednemu pozwalają zepsuć dobrą robotę innych, jest rzeczą bardzo ważną.

Prof. Burda wypowiedział myśl niezmiernie ważną praktycznie: kształtować postawy socjalistyczne to znaczy maksymalnie przestrzegać zasad ustroju. A pierwsza zasada naszego ustroju to — każdemu wedle jego pracy. Postawa jest zagrożona, gdy dobra robota nie jest wyróżniona. Ale stokroć gorzej się dzieje, gdy wyróżniamy brak rzeczywistej zasługi. To jest sprawa ustrojowa, rozwiązana w sensie globalnym, ale nie rozwiązana wciąż na poziomie jednostkowym. Pełz szansa ma jeszcze kombinatory! Przeżywamy, jak każdy naród i każde państwo, okres trudniejszy. W takim właśnie okresie kombinatory jest czynnikiem, który działa destrukcyjnie na postawy.

Podjęwając maksymalny wysiłek w ramach naszych obowiązków nauczycielskich na rzecz godziwego wychowania ludzi własnym przykładem, własną pracą, zmuszaniem młodych ludzi do pracy i uczenia tej pracy — musimy być świadomi, że jesteśmy częścią szerszego układu społecznego, szerszych warunków społecznych, które też, raz lepiej, raz gorzej, uczestniczą w kształtowaniu postaw.

Trzeba robić wszystko, aby obni-

żyć zużycie naszej energii na działania pozorne, na pseudopracę, na produkcję słów. Moim zdaniem za dużo spraw niby załatwiamy przez słowa, przez zebrania.

Dla mnie niezwykle ważna jest świadomość państwowa. Przez był państwowy bowiem realizuje się suwerenność narodu, świadomość narodowa. Prof. Burda słusznie odróżnił dwa typy świadomości, zwracając uwagę na ich więź. Te świadomości trzeba budować i działaniami wychowawczymi i przez taki rozwój form działalności państwowej, aby to były formy otwarte właśnie dla ludu, żeby maksimum potrzeb i możliwości ludzkich w tych właśnie formach się realizowało.

Chcę tu dodać, że świadomość państwowa to stosunek jednostki do struktury bardzo globalnej. Ale by ta świadomość żyła, aby rzeczywiście funkcjonowała, trzeba pamiętać, że powiązania człowieka z życiem społecznym są nie tylko globalne. Są także powiązania w rzeczach małych — z rodziną, z klasą szkolną, środowiskiem pracy, przyjaciółmi. I to tworzy pewną drabinę. Jeżeli się buduje świadomość społeczną, czyli więź człowieka emocjonalną, intelektualną, rozumową i moralną na tych wszystkich szczeblach, to wtedy łatwiej nam pokonać jakieś załamania na jednym czy drugim punkcie. Gdybyśmy chcieli kształtować tylko świadomość globalną, byłby to, moim zdaniem, błąd. Bywają przecież u każdego człowieka przyływy i odpływy, kryzysy i pewne trudności na każdym poziomie świadomości. Byłoby niedobrze, gdybyśmy kształtowali tylko jeden kanał powiązań jednostki ze społeczeństwem. Musimy rozwijać znacznie szersze i wielorakie aspekty tego życia społecznego.

DOC. DR MIECZYŚLAW MARCZUK

NAJWAŻNIEJSZYM komponentem postawy człowieka jest wiedza. Wiedza kumuluje się z różnych dyscyplin i staje się wiedzą globalną o otaczającej nas rzeczywistości. I wreszcie człowiek ma określoną sumę wiedzy, która jest mu potrzebna do tego, by mógł wyrazić swój stosunek do rzeczywistości. Innym komponentem postawy jest przekonanie o tym, co się dzieje. Duża suma wiedzy jeszcze nie jest wystarczająca do tego, aby mieć właściwą postawę. Przekonanie o tym, co się wie, staje się bardzo ważne. Następnym komponentem jest sprawa uczuć, zaangażowania, własnego stosunku do tego, co się wie i o czym się wie. Z kolei działanie, o czym mówił prof. Cackowski. Wprawdzie ludzie twierdzą, iż

wiedzą, że należy postępować tak czy inaczej, ale ich słowa często mijają się z tym, jak postępują naprawdę. A dopiero działalność, zachowanie się nie w sztucznych, ale właśnie w naturalnych sytuacjach jest najlepszym wyrazem postawy. Chciałbym jeszcze wysunąć postulat badania postaw studentów. Trzy lata temu przeprowadziliśmy takie badania w naszym uniwersytecie i dobrze by było skonfrontować wyniki obecnych badań z dawnymi. Dowiedzielibyśmy się, czy i co się zmienia w ich postawach, jacy są dzisiaj. Nasza codzienna praca też wskazuje na wiele niedostatków w tej dziedzinie. Jakże są tego źródła, jakie należy podjąć działania, co zmienić w naszej pracy, by osiągnąć lepsze wyniki — oto pytania, na które warto znaleźć odpowiedź.



St. Zalewski, szkic do obrazu olejnego znajdującego się w muzeum w Bytomiu

Dokończenie ze str. 1

warzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego, ciała faktycznie społecznego, działającego dzięki irracjonalnej wręcz pasji kilkunastu osób z Wincentym Piątkiem na czele, który zresztą uczestniczył w Kongresie.

W tej sytuacji wydaje się usprawiedliwione bardziej impresyjne, niż metodyczne zrelacjonowanie przebiegu I Kongresu Regionalnych Towarzystw Kultury.

Wrażenie pierwsze: spotkanie olsztyńskie okazało się bardzo na czasie, co zresztą podkreślali sami jego uczestnicy. Rzecz w tym, że reforma administracji w 1975 roku podzieliła historycznie ukształtowane regiony — niejako naturalne i emocjonalne podłoże aktywności ludzi tak rozmiłowanych w tradycji, w jej rekonstrukcji dla dobra współczesności. Całe terytoria, albo fragmenty byłych powiatów znalazły się w innych województwach. Wydaje się, że przypadłości szerokiej reorganizacji terytorialnej — w pełni uzasadnionej interesami państwa i gospodarki narodowej znieczuliły administrację na ten problem. A wystarczy stwierdzić, że nowy podział terytorialny kraju wcale nie likwiduje historycznych regionów, a tym samym nie zagraża interesom towarzystw, nie zawęża sztucznie pola ich działalności. Warto wskazać, że kilka oddziałów olsztyńskiego „Pojezierza” nadal pracuje poza granicami tego województwa. Ale Bohdan Kurowski, który wspominał o tym w referacie, „myśli nie dokończył, może sądząc, że temat to niezręczny” — jak to skomentował Franciszek Hawranek z Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego podczas dyskusji plenarnej w drugim dniu obrad. Hawranek okazał się zresztą autorem bardzo

interesujących refleksji na temat regionalizmu, jego wczorajszej sytuacji.

Dwa lata temu zauważył na łamach specjalnego numeru „Warmii i Mazur”: „Aby dobić zwolenników regionalizmu do reszty, wyciągnięto z lamusa starą i przebrzmiałą kazuistykę w sprawie partykularystycznych ciągłotek ruchu regionalnego. Zarzucano mu mianowicie holdowanie decentralistycznym tendencjom, stawianie sprawy własnego podwórka na pierwszym miejscu przed dobrem ogólnonarodowym; pomawiano go o absolutyzowanie powiatowej ojczyzny, przypisywano mu zamiary i chęci dezintegrujące, a zatem godne potępienia i nadszające się do zwalczania.”

Jeśli nawet tego rodzaju zarzuty pod adresem regionalizmu nie wszędzie były formułowane w tak kategorięczny sposób, to przecież nie ulega wątpliwości, że w ostatnich latach ten ruch społeczny stracił nieco na dynamice, mimo rosnącej liczby towarzystw. Dowodów dostarcza w tej mierze było województwo lubelskie. Otóż niemal wszystkie wnioski zjazdu towarzystw regionalnych i społeczno-kulturalnych w Naleczowie, który odbył się w kwietniu 1971 roku, nie zostały zrealizowane. Nie powołano np. postulowanej federacji wojewódzkiej organizacji regionalnych, bo na późniejsze zebranie robocze w tej sprawie nikt się z zainteresowanych — poza W. Piątkiem — nie zjawiał.

Więc Kongres odbył się w odpowiednim momencie. I chyba wyjaśnił sporo wątpliwości, rozwił niektóre niepokojące, postawił problemy do rozwiązania. Najważniejsze przy tym, że zdecydowana większość jego uczestników zgodziła się z tezą docenta Jerzego Kossaka, dyrektora Instytutu Kultury MKiS, że regionalizm dzisiejszy powinien zmierzać nie tyle do podkreślania odrębności lokalnych, do wyszukiwania różnic pomiędzy regionami, co raczej do odnalezienia i zdefiniowania włas-



St. Zalewski, „Autoportret”, rys. 1936

Chelm przypomina

Zalewskiego

Ireneusz J. Kamiński

URODZIŁ się 18 lipca 1896 roku w majątku Perespa pod Włodawą; jego ojciec był administratorem, a następnie dzierżawcą tej posiadłości. Ze sztuką zetknął się po raz pierwszy w Szkole Lubelskiej, gdzie w ramach zajęć lekcyjnych kopiował głowy i biusty antyczne (gipsowe). Podobno już wtedy ujawniał nieprzeciętne zdolności rysunkowe, gorzej radząc sobie z malarstwem. Interesował się twórczością prerafaelitów, ulegał legendzie Młodej Polski. Był typowym młodym człowiekiem drugiej dekady naszego wieku, demonstrującym aspiracje artystyczne także przy pomocy ubioru: przez wiele późniejszych lat nie nosił krawatu, tylko młodopolski „fruwak”. Życie również dostosował do modelu obowiązującego w eganeryjnej kawiarni.

W 1914 roku rozpoczął naukę w warszawskiej Miejskiej Szkole Rysunkowej, oczywiście — wbrew woli rodziców, a dzięki pomocy materialnej Piotra Ostromeckiego, właściciela majątku gdzieś w okolicach Lublina, który przyjaźnił się z dziadkiem przyszłego

malarza, zechciał wystąpić w roli mecenasa. Leżało to w stylu epoki, która odeszła w przeszłość po pierwszej wojnie światowej.

Studiował krótko, bo właśnie nastąpił czas wojenny. Stanisław Zalewski wrócił zatem do Lublina w 1915 roku, gdzie rządził akurat Austriacy. Nie był to jeszcze czas biedy i zagrożenia monarchii, życie w mieście toczyło się prawie normalnym rytmem, odbywały się wystawy sztuki i „oblewane” spotkania. Nawet zawiązała się jakaś „grupa samokształceniowa” plastyków lubelskich, której przewodził Adam Nowiński, człowiek tyle popularny, co otwarty na nowe tendencje artystyczne. Zachowała się karykatura autorstwa Wiktora Ziolkowskiego — „Julian Kot” wykonał sporo rysunków co znamienitszych postaci Lublina — która przedstawia Nowińskiego w cylindrze i pelisze: artyści dbali wówczas o elegancję.

Ale polemizowali z sobą tak, jak dzisiaj, jak sto lat temu, więc grupa rozpadła się dość szybko. Za-

nego miejsca w kulturze kraju. Nie sądzę przy tym, aby wypowiedź Włodzimierza Wnuka ze Związku Podhalan zmierzała do reinterpretacji owej tezy. Zabierając głos w dyskusji plenarnej, Wnuk przedstawił na wstępie faktycznie dynamiczny rozwój Związku, który liczy dziś 1600 członków (nie tak dawno temu — 800) i posiada 17 oddziałów rozsiadanych poza Nowosądeckiem na całym Podhalu: w Zakopanem, Poroninie, Bukowinie, Nowym Targu, Szczawnicy, Rabce... I cóż na to publicyści, którzy od lat usiłują nas przekonać o nieuchronnym zaniku kultury ludowej

Miłośników Wrocławia, który podnosząc problem wychowania patriotycznego w „ikonografii regionalnej” barwnie i z przejęciem zrekonstruował swoje spotkanie z profesorem Tadeuszem Mikulskim, autorem m.in. „Spotkań wrocławskich”, podczas pierwszych zajęć uniwersyteckich w odzyskanym dla Polski mieście.

Większość głosów w dyskusji chwaliła się rzeczowością, to prawda, ale o charakterze, powiedzmy, sprawozdawczym. Tak zatem poszczególni delegaci referowali dorobek prezentowanych przez siebie towarzystw, często rzeczy-

agencji Imprezowych, coraz bardziej zatracając charakter ośrodków kreacji kulturowej — może dlatego, że nie podlegają bezpośredniej kontroli społecznej. Należałoby zatem uczynić z towarzystw regionalnych coś w rodzaju społecznych rad placówek kultury. Moim zdaniem jest to sugestia ze wszech miar godna uwagi.

Szerze widzenie ruchu regionalnego przedstawił także Janusz Koniusz z Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Przyszłość ruchu widzę w partnerstwie intelektualnym z instytucjami kultury. Towarzystwa winny być sejmografami opinii publicznej. Proszę wybaczyć, że przypomnę: w 1971 roku na łamach „Kamery” sformułowałem podobną opinię. I nadal jest, jak widać, aktualna — jako postulat.

Wrażenie trzecie: Kongres ujawnił, że dawne problemy nie doczekały się rozwiązania. Już dziesięć lat temu (a może wcześniej) regionaliści alarmowali, że młodzież nie garnie się do pracy w towarzystwach. I tak jest nadal, w całym kraju obserwuje się nawet spadek liczby ludzi młodych w ruchu regionalnym, choć podobno Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej w Tarnowskich Górach i Towarzystwo Miłośników Wrocławia na taką chorobę nie cierpią. Ale to są wyjątki. Co zatem robić? Dostosować formy działania do mentalności, fascynacji i oczekiwań młodego pokolenia — odpowiadali niektórzy uczestnicy Kongresu, choć jakby bez przekonania, przypominając zaraz potem, że regionalizm rozwijałi ludzie, dla których wzorem był doktor Judym.

Wrażenie czwarte: mimo wszelkich uwag krytycznych, które prywatnie przekazali mi uczestnicy obrad, w poszczególnych komisjach (niezręcznie prowadzone dyskusje, brak też wyświadczeń, niepotrzebne chwalenie się sukcesami, zamieszanie pojęciowe), trzeba przyznać, że wnioski sformułowane w trakcie owych rozważań dotyczyły spraw ważnych dla przyszłości towarzystw regionalnych. Postulo-

wano zatem: dalszą działalność stowarzyszeń niezależnie od granic administracyjnych, szerszą współpracę z organizacjami młodzieżowymi oraz samorządami i administracjami osiedli mieszkaniowych, respektowanie zróżnicowania modelowego poszczególnych towarzystw, organizowanie kół regionalnych w zakładach produkcyjnych, opracowywanie materiałów regionalnych dla nauczycieli, zwiększenie dotacji dla towarzystw, badania potrzeb kulturalnych młodych robotników, zmianę polityki wydawniczej wobec stowarzyszeń, uruchomienie Funduszu Rozwoju Kultury...

Kongres Regionalnych Towarzystw Kultury obradował dwa dni i wydaje się, że jego uczestnicy z nową nadzieją opuścili piękny Olsztyn, którego z braku czasu nie mogli niestety dobrze poznać. Ta nadzieja wiąże się m.in. z treścią wystąpienia członka Biura Politycznego, ministra Kultury i Sztuki, Józefa Tejchmy, który na zakończenie owego faktycznie roboczego spotkania powiedział: *Nie wyobrażam sobie socjalistycznej polityki kulturalnej bez aktywnego ruchu społeczno-kulturalnego... Regionalizm w każdych warunkach ma duże znaczenie, a może mieć jeszcze większe, bo ludzie coraz częściej szukać będą własnej genezy, własnych śladów.*

Arkadiusz Kossowski

P.S.

W swojej „Uchwale” kongres zaakceptował m.in. „Ramowy Program Rozwoju RTK na lata 1976—1980”, opracowany przez istniejącą przy Ministerstwie Kultury i Sztuki Radę Regionalnych Towarzystw Kultury, a oparty na tezach „Programu Rozwoju Kultury do 1990 roku”. Ponadto wystąpił z postulatem organizowania kongresów RTK co cztery lata i uznał za celowe zwoływanie sejmików, zjazdów i spotkań towarzystw w makroregionach, zalecając jednocześnie współpracę sąsiadującym z sobą regionom.

Regionaliści

W czasach cywilizacji technicznej?! — pytał Wnuk z trybuny, informując ponadto, że na ubiegłorocznym zjeździe Związku Podhalan jego kierownictwo wystąpiło w strojach góralskich, a trzon stowarzyszenia stanowi inteligencja, przez co poszerza się działalność kulturalna organizacji (głośne „posiady”).

Wrażenie drugie: Kongres olsztyński potwierdził emocjonalny charakter zaangażowania się regionalistów w sprawę, eksponując zarazem typ postawy racjonalnej, rzeczowej. Wspominki z niedawnych czasów, sentymentalne podnoszenie niemal misyjnej roli domorostych etnografów, miłośników ludu i wysłanników oświaty powszechnej, określające niegdyś różne międzywojewódzkie zjazdy i konferencje, w Olsztynie były czymś sporadycznym. A jeśli nawet pojawiały się taka tonacja, to na ogół w kontekście jakiejś aktualnej sprawy, tkwiącej korzeniami w niebogatą i trudną przeszłość. Mam tu na uwadze wystąpienie Bernarda Januszewskiego z Towarzystwa

wielce imponujący (Olsztyn, Łódź, Poznań), czasami zwracali uwagę na nikłe dotacje, trudności wydawnicze, brak poparcia ze strony wyspecjalizowanych instytucji kulturalnych czy naukowych, ale rzadko formułowali ogólniejsze refleksje nad regionalizmem i jego celami w latach siedemdziesiątych. Tym bardziej więc warto zwrócić uwagę na wystąpienie Dzierżymira Jankowskiego z Wielkopolskiego Towarzystwa Kultury, który stwierdził jednoznacznie, że prestiż ruchu regionalnego zależy od podejmowania przezeń zadań społecznie ważnych i trudnych, od poziomu realizowanych przedsięwzięć. Tymczasem np. wydawnictwa niektórych towarzystw nie spełniają tego warunku, co powoduje obniżenie ich autorytetu. Działacz poznański wskazał ponadto na problem niepokojący i tak szeroki, że ogarniający nawet... Lubelszczyznę. Oto jego zdaniem instytucjonalny system upowszechniania kultury (domy) przechodzi kryzys, poszczególne jego placówki zaczynają bowiem pełnić funkcję

lewski z kilkoma kolegami ulokował się w pracowni, która znajdowała się na poddaszu budynku przy zbiegu ulic: Zamojskiej (dziś: Bucza) i Królewskiej. Jednym z jego przyjaciół był w tym okresie Eugeniusz Eibisch, który w przyszłości dał się poznać jako wybitny malarz i bezkompromisowy reformator krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Wtedy Eibisch był jeszcze studentem Jacka Malczewskiego w owej uczelni, mającym już przecież pewien autorytet w środowisku lubelskim. Więc stało się: pod wpływem Eibischa Zalewski zdecydował się na studia w pracowni twórcy „Błędnego koła”.

Lekcja Malczewskiego nie wywarła większego wpływu na twórczość Zalewskiego. Obrazowa refleksja nad polskim losem, odwoływanie się do uniwersalnych symboli wystylizowanych narodowo, realistyczny modelunek detalu — takie wartości i rozwiązania nie interesowały już pokolenia, do którego należał Zalewski. Ta generacja rozpoznawała swoją przygodę z kubizmem, futuryzmem i ekspresjonizmem, zapomniała o przykazaniach Matejki i skłaniała się do traktowania sztuki jako bytu samoistnego, wyzwolonego z różnego rodzaju służb społecznych. A pierwsza manifestacja tych nowych przekonań i wyobrażeń odbyła się właśnie w Krakowie, cztery lata przed pojawieniem się tutaj Zalewskiego. Wtedy właśnie, w 1912 roku, Zbigniew i Andrzej Pronaszko oraz Tytus Czyżewski wystąpili z wystawą, którą można uznać za pierwszą w Polsce demonstrację nowej sztuki.

Nie ma dowodów, że Zalewski kontaktował się z tymi artystami, ale biorąc pod uwagę późniejsze jego związki z Pronaszkami, trudno wykluczyć taką sytuację. Nie wiemy też, czy widział i Wystawę Ekspresjonistów Polskich, i Wystawę w Krakowskim TPSP w 1917 roku, ale wiemy, że w tym czasie przebywał jeszcze w ASP. Można zatem przypuszczać, że absolwent Szkoły Lubelskiej przynajmniej obserwował poczynania swoich rewolucyjnie nastawionych rówieśników, że rozumiał sens ich działalności. Biorąc pod uwagę późniejszą twórczość Zalewskiego należy stwierdzić, że Kraków odegrał istotną rolę w ukształtowaniu się osobowości artystycznej autora „Autoportretu z syfonem”. Oczywiście, Kraków pozakaademicki, zaczynający się za drzwiami pracowni Malczewskiego — świetnego artysty, należącego już jednak do innej, odchodzącej w przeszłość epoki.

Dziwna to zresztą historia, bo jak twierdzą niektórzy, Zalewski był „ulubionym uczniem starego Jacka, który cenił jego entuzjazm do sztuki i wyczulwał w nim nieposłędny talent”.

Ostatecznie Zalewski ukończył war-

roku „Praesensu”, który składem osobowym i programem był po części kontynuacją tamtego falansteru polskiej awangardy międzywojennej.

Ideologia i znaczenie obu ugrupowań to są sprawy dość znane, więc przypo-

Taki człowiek nie mógł akceptować programu ideowego, który deprecjonował sens malowania obrazów „galeryjnych”. Utylitarnie, praktyczne cele „Bloku” i „Praesensu” (w którym dominowali architekci) nie interesowały Zalewskiego, czego dowodem może być m.in. fakt uczestnictwa artysty w próbie restytuowania grupy „Formistów polskich”, podjętej przez warszawski ośrodek ruchu w 1927 roku i tożsamej z wystawą kilku malarzy w „Zachęcie”. Brał w niej udział: T. Czyżewski, A. Pronaszko, Sz. Rutkowski, K. Winkler, St. I. Witkiewicz, St. Zalewski i J. Zaruba. Wystawa potwierdziła bardzo już wysoką pozycję Stanisława Zalewskiego w sztuce polskiej, pozycję uzyskaną dzięki wartościom piktoralnym jego twórczości, odróżniającym go korzystnie od tych członków „Bloku” czy „Praesensu”, którzy także nie rezygnowali z „gry malarskiej”. Oto co na łamach „Drogi” miało do powiedzenia na temat obrazów Zalewskiego Stefania Zahorska, krytyk sprzyjający awangardzie.

Dwie indywidualności wysuwają się na plan pierwszy wystawy: Stanisław Zalewski i Andrzej Pronaszko. O Zalewskim można powiedzieć, że to jeden z najkulturalniejszych u nas artystów, którego prace wykazują stały postęp i doskonalenie się... Zmierza on w dwóch kierunkach: z jednej strony do stworzenia formy jak najbardziej czystej, prostej, logicznie związanej, która w malarstwie odgrywa podobną rolę, jak ścisłość i jasność w konstrukcji myślowej. Drugie zasadnicze zagadnienie Zalewskiego, to barwa, zbudowanie formy przez tony barwne, a równocześnie danie kolorystycznej symfonii...

Stworzenie formy logicznie związanej — tak, to przede wszystkim wiązało artystę z obu ugrupowaniami awangardy. A także dążenie do syntezy kształtu opartej na geometrii. Zalewski zamieniał na malarstwo niektóre założenia programowe awangardy.

Największe sukcesy artystyczne (i publiczne) odnosił Zalewski w latach 1925—1931. W 1931 roku miał wystawę indywidualną w renomowanym, chwalebnie się piętą tradycją Salonie Czesława Garlińskiego przy ul. Mazowieckiej 8 w Warszawie. Wstęp do ka-



St. Zalewski, „Pejzaż”, olej, 1929

szawską Szkołę Sztuk Pięknych (1920) i rozpoczął pracę nauczycielską w II Miejskiej Szkole Zawodowej Żeńskiej w stolicy. Wykładał tam rysunek — aż do 1944 roku.

Na początku lat dwudziestych w sztuce polskiej pojawiło się zagadnienie konstrukttywizmu, rozwijane przede wszystkim przez grupę „Blok” (1924—1925), w której skład wchodziłi tacy artyści, jak m.in. Władysław Strzemiński, Mieczysław Szczuka, Henryk Stażewski, Aleksander Rafałowski, Henryk Berlewski, Katarzyna Kobro. Do „Bloku” należał również Zalewski, uczestnik spotkań stołecznych artystów w pracowni Pełczyńskiego przy ul. Szczygłej 10. Po rozwiązaniu się ugrupowania autor „Martwej natury z ogórkami” przystąpił do powstałego w 1926

minanie ich tutaj nie miałyby większego sensu. Zwróćmy raczej uwagę na to, co podnosiłem już przy innej okazji. Otóż Zalewski nie był typem intelektualisty, tworzył intuicyjnie i spontanicznie, gdy tymczasem członkowi ideolodzy np. „Bloku” kwestionowali „indywidualne przeżycie twórcy” jako powód powstania dzieła. Zalewski często przebywał w plenerze, szkicował, daleki był od utożsamiania pracowni z halą produkcyjną. Wezwanie Szczuki, aby porzucić działania artystyczne, które nie są materialnie korzystne dla społeczeństwa i zająć się projektowaniem form przemysłowych, plakatów, wnętrza oraz kreowaniem przestrzeni architektonicznej — takie hasła nie mogły trafić do przekonania komuś, kto jeszcze „wczoraj” ubierał się z młodopolską,

Dokończenie na str. 15

Kamena str. 5

BASENY

Są czy nie ma?

Dokończenie ze str. 1

ta, która asystuje moim oględzinom basenu, powiada: „Szkolę zamknęli, to i łobuzy się rozpanoszyły zupełnie, barak z szatnią rozebrały przy basenie, cegiel do basenu nawrzucały”. Fakt, że szkoła nieczynna od zeszłego roku. Stoł pusta i smutna, basen również.

Pływalni przy cukrowni nie udało mi się obejrzyć ani sfotografować, ponieważ z kolei nie udało mi się zastać dyrektora naczelnego cukrowni, a tylko on władny jest pozwolić dziennikarzowi na sfotografowanie i obejrzenie

ale niezgodnie z dokumentacją — brak w ścianach rynienki przelewowej służącej do łapania fal, brak natrysków, za małe przekroje rur do zasilania i odprowadzania wody. Powinien to być przykład pouczający.

W każdym razie pływalnia funkcjonowała, jako obiekt środowiskowy zresztą, lat ponad dwadzieścia, pod koniec już w stałym konflikcie z przepisami sanitarno-epidemiologicznymi, które w tak zwanym międzyczasie uległy obostrzeniu, i basen trzeba było zamknąć.

W 1974 roku na WSInż. powstała praca dyplomowa Marianny Kopacz,



„Cegiel do basenu nawrzucały...”

opracował założenia techniczno-ekonomiczne obiektu, w którego obrębie miała znaleźć się pełnowymiarowa sala gimnastyczna z zapleczem, kryta pływalnia z zapleczem, a nawet skromny zespół odnowy biologicznej. Pomyślany z wyobraźnią obiekt środowiskowy (jedno z wejść zlokalizowane poza szkołą). Przewidywany wówczas koszt całości — około 40 milionów złotych, dziś pewno więcej...

Inspektor Surmacz twardo przywołuje mnie do rzeczywistości. W obecnej sytuacji inwestycyjnej takie kwoty z przeznaczeniem na basen są całkowicie nierealne. W tej pięcioletniej przewiduje się nakłady inwestycyjne dla szkolnictwa Lublina: 40 milionów na budowę jednej szkoły oraz 15,2 miliona na rozpoczęcie budowy dwu innych szkół. Tylko tyle po prostu można, choć to nie będą szkoły z basenami.

Projektu Janusza Gągały może być żal, w tej chwili już raczej jedynie ze względów lirycznych, aczkolwiek założenia techniczno-ekonomiczne kosztowały blisko 400 tysięcy złotych. Osobiście żał mi po prostu istniejącej pływalni przy liceum, w której nieczęsto zdążyły porosnąć krzewy, a obok nich zwałono fragmenty betonowych konstrukcji.

Liryka liryką, a fakty są takie, że w ciągu kilku ostatnich lat zlikwidowano bądź zamknięto w Lublinie pięć basenów otwartych! Okazuje się, iż zawsze można znaleźć jakiś powód do zlikwidowania basenu — ważniejsza i większa inwestycja powstająca w tym miejscu, obostrzone przepisy sanitarno-epidemiologiczne. Z takimi powodami, bywa, trzeba się godzić. Ale nie można się pogodzić, że zawsze się znajduje jakiś magik, który potrafi uzasadnić każdą likwidację pływalni. Najłatwiej likwidować — trudniej dogłądać, remontować i modernizować obiekty, które mogłyby jeszcze ludziom służyć. A przecież tu już nie chodzi o fundusze inwestycyjne!

Jeśli dla ratowania istniejących pływalni warto z konieczności bawić się

w półśrodki, to przy budowie nowych inaczej. Z planów do roku 1975 zrealizowano w Lublinie jedną pływalnię krytą (Akademicki Ośrodek Sportowy), i to jest w porządku, bo tyle zakładano. Z pięciu natomiast otwartych — tylko dwie: przy ul. Łabędziej oraz bliźniaczą przy ul. Odlewniczej, oddaną zresztą dopiero w roku 1976.

Ta ostatnia, realizowana w czynie społecznym, pokazuje, że basen nie jest inwestycją, którą daloby się w takim właśnie trybie budować. „Basen to klasyczna inwestycja do realizacji systemem zleconym — powiada Janusz Gągała, specjalista i zarazem hobbysta w tej materii. — Tam w czynie społecznym nie ma co zrobić, nawet niecki basenu. Struktura betonu musi być bardzo wysoka, odpowiednia granulacja. Wszystkie prace wyspecjalizowane. Są normatywy, które przewidują określoną ilość wymian wody basenowej w określonym czasie, ta woda musi być zasadniczo zdatna do picia, i do tego potrzeba specjalnych filtrów, odpowiedniego przekroju rur”.

Cytuję głos fachowca, bo jestem za pełną fachowością w tej dziedzinie. Tymczasem gospodarze pływalni przy ul. Odlewniczej — WOSIR — martwią się, czy im przypadkiem niecka jest przecieka. Ale to jeszcze trzeba by było obliczyć, dokonać dokładnych pomiarów, skoro na przykład wiadomo, że każdy wychodzący z pływalni wynosi na sobie litr wody. Powody ubytków mogą być różne.

W każdym razie oba wymienione ostatnio baseny posiadają zbyt skromne zaplecze sanitarne; zbyt mały teren rekreacyjny, bo przecież basen to nie tylko woda, ale i miejsce do plażowania i gier sportowych. Ponadto w obu woda niepodgrzewana, co w naszym klimacie znacznie skraca okres efektywnej eksploatacji.

Do pięciu brakuje więc jeszcze trzech, które miano zbudować jako kompleks basenów otwartych przy Al. Zygmuntowskich na tyłach istniejącej hall



„Zwalono fragmenty betonowych konstrukcji”

pływalni, nieczynnej zresztą od dwu lat. Na podstawie różnych, sprzecznych co nieco informacji udało mi się coś w końcu ustalić: mianowicie, że basen został zdewastowany z winy cukrowni lub z winy okolicznej kawalerki. Faktem jest, że 9 stycznia ubiegłego roku Komitet Obwodowy Samorządu Mieszkańców nr 53 wystosował pismo do wiceprezydenta „o spowodowanie odbudowy zdewastowanego basenu kąpielowego oraz kortu tenisowego” na skwerze przy cukrowni. Ze zarząd w styczniu komisja pod przewodnictwem wiceprezydenta Longina Zielińskiego spotkała się z dyrekcją cukrowni i ustalono: wprawdzie zakład dokonana remontu basenu i kortu, a następnie władze miejskie podejmą się eksploatację obiektu na własny koszt, ku ogólnemu pożytkowi. Minęło półtora roku, basen niewyremontowany. Teraz słyszę, iż obok basenu istnieje studnia głębinowa i uruchomienie pływalni zagraża, w związku z tym, ujęciu wody pitnej. Czy ta studnia istniała już, gdy ustalano remont basenu, czy wydrążono ją potem i dlaczego? — zdania w cukrowni są podzielone.

A obecnie o dwu pływalniach otwartych, które program rozwoju wliczał w wyjściowy stan posiadania.

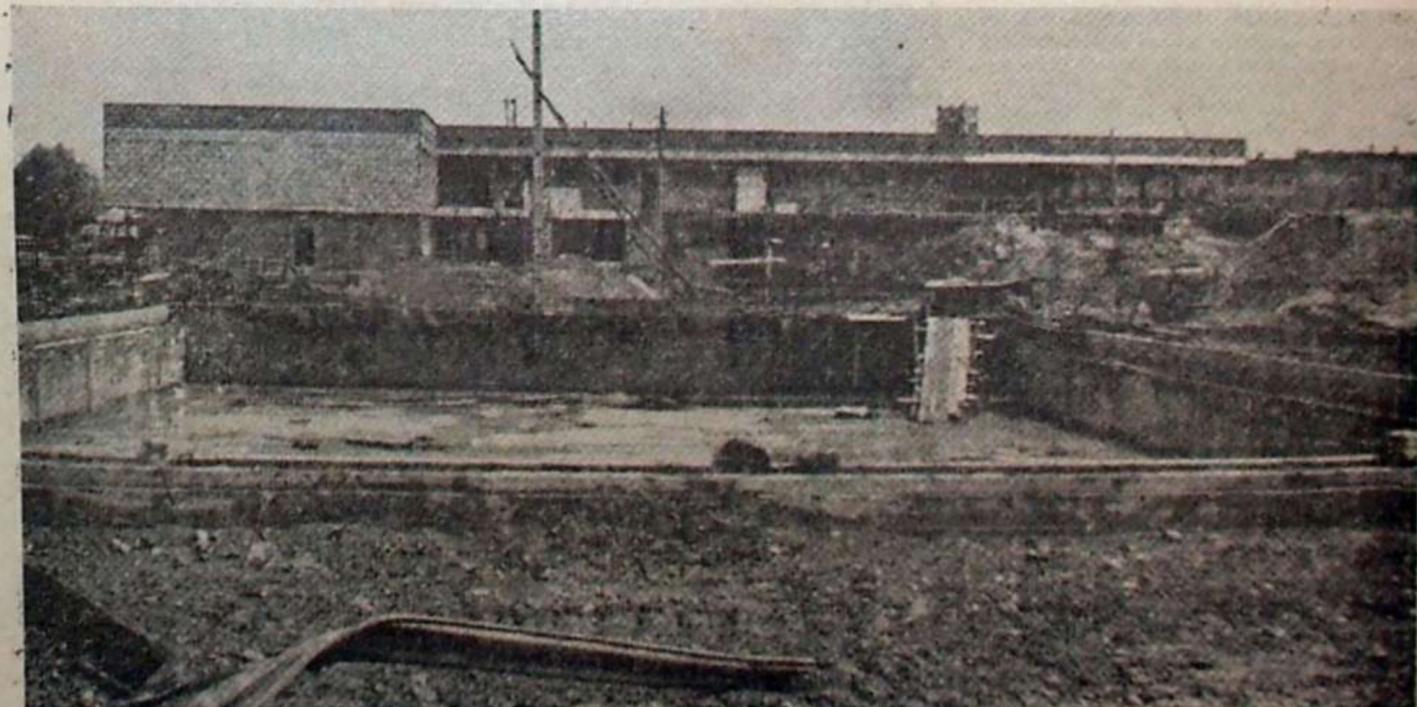
Basen przy ul. Grottgera został zlikwidowany w związku z budową teatru.

Basen przy liceum im. Staszica został zamknięty mniej więcej rok po opracowaniu programu rozwoju obiektów rekreacyjno-sportowych miasta. Ale jest to sprawa, której nie da się zamknąć w jednym akapicie.

Wiesław Pisarski, dyrektor liceum, odkłada na półki w swoim gabinecie kolejne tomy dokumentacji, dotyczącej pływalni — modernizacji, budowy nowego obiektu. Przede wszystkim okazuje się, że basen został zbudowany (w roku 1952) w czynie społecznym,

dotycząca tej pływalni — „Modernizacja basenu otwartego; remont niecki basenu i zadaszanie”. Szybko jednak się okazało, że taki projekt nie zaliczają ani potrzeb szkoły, ani potrzeb okolicznych mieszkańców. I powstał nowy pomysł, inspirowany przez komitet rodzicielski i dyrekcję liceum — budowa międzyszkolnego ośrodka sportowego, która to koncepcja znalazła uznanie u władz wojewódzkich.

Zespół projektantów z lubelskiego „Miastoprojektu” pod kierownictwem architekta mgr inż. Janusza Gągały,



„Prace ciągną się mozolnie i oplatane...”

sportowej i krytej pływalni. Do projektu autorstwa Janusza Gągały i do fachowości wykonawstwa (Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego) trudno mieć pretensje, a nawet do tego, że z trzech wyszły dwa plus brodzik. Bądź co bądź będą to pierwsze w Lublinie baseny otwarte z podgrzewaną wodą i terenem rekreacyjnym oraz zapleczem socjalnym i sanitarnym z prawdziwego zdarzenia. Tu już nie ma mowy o półśrodkach, chyba że w nasileniu prac generalnego wykonawcy i podwykonawców, które, ongi rozpoczęte, ciągną się mozolnie i opieszale.

Jak wiadomo ogólnie, mamy rok 1977. Do tego czasu miało być w Lublinie — co najmniej! — siedem czynnych basenów otwartych i dwa kryte. Kryte są. Ponieważ wśród otwartych zlikwidowano dwa „liczone” (plus trzy „nieliczone”), a nie zdążono zbudować trzech, nadal są w mieście dwie pływalnie otwarte, jak w 1971 roku. Dostyc przynębiająca statystyka.

Może powstać pytanie, czy nam potrzeba basenów otwartych, a nie na przykład krytych? Te pierwsze są jednak dużo tańsze, choćby miały wodę podgrzewaną. Ponadto żaden Zalew Zemborski, dość przecież odległy od miasta i przewidywany raczej do rekreacji sobotnio-niedzielnej, nie zastąpi mądrze usytuowanych, nie koniecznych zaraz olimpijskich, otwartych basenów osiedlowych, służących obywatelom do rekreacji popołudniowej, a dzieciom i młodzieży do racjonalnego spędzania wakacji w mieście.

Jeśli natomiast szło o zorganizowaną całoroczną naukę pływania dla przedszkolaków i uczniów, to już wyłącznie kwestia pływalni krytych. Podobnie sprawa się ma ze szkołkami pływackimi; pracą sportowych sekcji pływackich w klubach. Na ponad 43 tysiące dzieci i młodzieży, uczących się w placówkach podległych Wydziałowi Oświaty i Wychowania Urzędu Miejskiego w Lublinie, tylko około 700 uczęszcza na zorganizowaną naukę pływania. Zdecydowany prym wiedzie tutaj szkoła podstawowa nr 6 — ze względu na bliskość pływalni AOS. Dodając do tego nawet odpłatne szkolenie dzieci i młodzieży przez SZS AZS i „Lubliniankę” — i tak wychodzimy na procenty znikome. Przecież istniejące dwie kryte pływalnie w Lublinie nie są z gumy! Jak to się ma do programu dziesięcioletniej i wizji szkół przyszłości — z basenami i pełnowymiarowymi salami gimnastycznymi?

Powiedział mi inspektor Surmacz, że budynek zamkniętej szkoły przy ul. Bronowickiej zostanie przekształcony w piękne przedszkole, zaś tamtejszy nieczynny basen — w brodzik. Jeśli nie od tego września, to od następnego. Dobre i to na razie — takie przedszkole przyszłości!

Marian Drabko, kierownik Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Miejskiego, wyraźnie się ożywia, kiedy od narzekań na sytuację obecną przechodzi do pytania o perspektywę. „Istnieje w Polsce tendencja, żeby budować raczej kompleksowe obiekty, złożone z basenów krytych” — słyszę krępującą informację. Z kolei rozmawialiśmy o przyszłości lubelskiej, raczej kompleksowej. Ale napiszę tylko o jednej inwestycji, której realność i względna bliskość potwierdził potem wiceprzewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania, Wincenty Lipiński. Otóż jest wprowadzona do pięcioletniej budowa wielkiej hali sportowej na Czechowie, w tej przyszłościowej dzielnicy miasta. Przewidziano tam również dwa baseny kryte i brodzik. Założenia techniczno-ekonomiczne już zostały wykonane i zatwierdzone.

Rozpisałem się tyle o tych pływalniach i widzę, że właściwie trochę jestem niemodny. Pierwszeństwo mają mieszkania, oczywiście. Z drugiej jednak strony — chodzi tylko o to, abyśmy nie myśleli następująco: jak my już ten dobrobyt w postaci mieszkań i sklepów zbudujemy, wtedy przyjdzie czas na pływalnie i księgarnie. Tu byłaby potrzebna większa równoległość. Bo przecież świat już dzisiaj buduje baseny z hydraulicznie podnoszonym i opuszczanym dnem; z przelewami na poziomie lustra wody, dającymi znakomite tłumienie fal; ze ścianami otwartymi bezpośrednio w teren. Tymczasem „otwierana” ściana w pływalni krytej WOSiR (przy Al. Zygmunta) jak się dawno zacięła, tak jej ruszyć nie można.

I jeszcze — programy są po to, by je realizować, uzgadniając między sobą, a nie po to, by wywoływały bezproduktywne poczucie braku.

Maciej Podgórski
(zdjęcia autora)

AUTOR JEST PODSEKRETARZEM STANU W MINISTERSTWIE OŚWIATY I WYCHOWANIA ORAZ PRZEWODNICZĄCYM KOMISJI OŚWIATY TOWARZYSTWA „POLONIA”.

SZKOLNICTWO polonijne jest zagadnieniem dość skomplikowanym, obejmując bowiem różnorodne formy nauczania języka polskiego — a w przypadku szkółek większych, lepiej zorganizowanych i zasobniejszych finansowo — również elementów historii i geografii Polski oraz śpiewu i tańców narodowych. W każdym kraju posiada ono swą odrębność i opiera się na nieco innych zasadach, co powoduje, że nie sposób jest mówić o wzorcowym modelu szkolnictwa polonijnego. Obecnie najpowszechniejszą formą popularyzowania języka polskiego wśród najmłodszego pokolenia naszych rodaków z granicą są szkolki sobotnie, prowadzące nauczanie na poziomie podstawowym, w których dzieci i młodzież zdobywają umiejętność mówienia i czytania. Znacznie mniej jest takich, które realizują program gimnazjalny. W ostatnich kilkunastu latach wprowadzono język polski, jako obcy, w szkołach wielu krajów z możliwością zdawania go również na egzaminie maturalnym (Francja, Kanada, USA).

SZKOLNICTWO POLONIJNE

Bolesław Dylak

Szkolki działają najczęściej pod patronatem politycznych organizacji polonijnych, fundacji, stowarzyszeń kombatanckich, organizacji oświatowych (Polska Macierz Szkolna, Zrzeszenie Nauczycieli Polskich), niektóre istnieją przy parafiach polskich (rzymsko-katolickich i Polskiego Kościoła Narodowego).

Liczba uczniów jest różna, począwszy od 4 do 500, jak np. szkoła im. T. Kościuszki w Chicago. W przypadku Ameryki Pn. są one stosunkowo liczne, natomiast w krajach Europy zachodniej — znacznie mniejsze. Wyjątek stanowi jedynie Wielka Brytania. Niezależnie od wielu sukcesów na polu oświatowym, szkolnictwo polonijne boryka się tu z wieloma trudnościami, polegającymi na niedostatecznych kwalifikacjach nauczycieli, braku odpowiednich podręczników, programów i pomocy dydaktycznych oraz właściwych lokali.

Przeważająca większość szkółek (przeszło 90 proc.) funkcjonuje na poziomie podstawowym, chociaż dla młodzieży starszej istnieją kursy licealne i gimnazja. We Francji i w Wielkiej Brytanii są nawet szkoły średnie, działające na prawach przysługujących szkołom francuskim i angielskim. Towarzystwo „Polonia” utrzymuje kontakty z 342 nauczycielami w 20 krajach. Liczba ta ulega jednak nieustannym wahaniom spowodowanym m. in. przechodzeniem na emeryturę starej kadry nauczycielskiej, brakiem środków finansowych na utrzymanie nauczycieli, zmianą miejsca zamieszkania oraz obawą niektórych spośród nich przed presją konserwatywnych organizacji polonijnych. Ujemnie oddziałują również nasilające się procesy migracyjne ludności polskiej, utrudniające nabór uczniów do szkół.

Należy wyraźnie podkreślić, że szkolnictwo polonijne nie można utożsamiać ze szkołami polskimi, może to bowiem prowadzić do mylnych wyobrażeń. Wzamy pod uwagę, że w większości przypadków (bez względu na kraj) przeciętna liczba godzin przeznaczonych na naukę tzw. przedmiotów ojęzycznych rzadko przekracza trzy godziny tygodniowo, zajęcia odbywają się często w pomieszczeniach zastępczych, nie odpowiadających wymogom oświatowym, nie zawsze jest zachowany podział uczniów na klasy. Nie należy również do rzadkości sytuacja, w których jedna osoba pełni zarazem funkcję nauczyciela i kierownika punktu szkolnego. Największe szkoły (USA, Kanada, Wielka Brytania) starają się jednak działalności swojej nadać charakter normalnych szkół, zarówno ze względu na dydaktyczny, jak i prestiżowy.

Najbardziej żywa jest współpraca Towarzystwa „Polonia” z nauczycielami z USA, Kanady, Francji i Australii. Szkoły w tych krajach należałyby uznać za tron oświaty polonijnej. Z rad i pomocy korzystają również nauczyciele z RFN, Anglii, Meksyku, Urugwaju, Brazylii, Argentyny, Danii, Norwegii i Nowej Zelandii. Współpraca z nauczycielami z tych krajów jest niewielka, a kontakty — raczej rzadkie. Przyczyną są różnorodne. Po pierwsze: polityka asymilacyjna krajów osiedlenia, która w przypadku Brazylii okazała się tak silna, że doskonale rozwinięte w okresie międzywojennym szkolnictwo polonijne poniosło bolesne i nieodwracalne straty. Po dru-

gie: stosunkowo nieliczna Polonia, jak np. w Norwegii czy w Meksyku, a w związku z tym trudności z naborem uczniów oraz fachową kadra nauczycielską. Jeżeli chodzi o szkolnictwo polonijne w Wielkiej Brytanii, to władze nauczycielskie w tym kraju z rezerwą odnoszą się do wszelkich form kontaktów nauczycieli szkółek z Polską. Doprowadziło to w konsekwencji do samoizolacji tego szkolnictwa, a tym samym do oderwania się od żywego języka i kultury polskiej.

Jak już wspominałem, najwięcej szkół polonijnych istnieje w USA. Znajdują się one pod patronatem różnych organizacji polonijnych: świeckich i duchownych, politycznych i kulturalno-oświatowych. Przeciętna szkolka liczy niewiele ponad 100 uczniów, co pozwala przyjąć, że do tych, z którymi Towarzystwo „Polonia” utrzymuje kontakty, uczęszcza ogółem przeszło 1 tysięcy dzieci i młodzieży polskiego pochodzenia. Zajęcia odbywają się w nich przeważnie w soboty na trzech poziomach: elementarnym, podstawowym oraz, znacznie rzadziej, średnim — najczęściej w ramach trzech godzin tygodniowo. Stosunkowo nieźle funkcjonuje sieć szkolnictwa polonijnego w głównych metropoliach: Chicago, Nowym Jorku, Detroit, Cleveland i Buffalo.

Znacznie rozbudowaną polonijną sieć oświatową posiada również Kanada, gdzie Towarzystwo „Polonia” udziela pomocy 40 nauczycielom. Liczebność szkółek jest jednak znacznie niższa aniżeli w USA i waha się w granicach 65-68 uczniów, obejmując tym samym ok. 2500 dzieci i młodzieży polskiego pochodzenia.

Na uwagę zasługuje tu trw. „polityka wielokulturowości”, w której ramach

ży również zaznaczyć, że charakterystycznym zjawiskiem ostatnich lat jest stały, choć powolny, wzrost rangi podręczników krajowych, wysyłanych szkołom polonijnym. Według opinii wielu nauczycieli poważną wadą podręczników krajowych jest jednak ich niekomunikatywność, a tym samym ograniczona możliwość pełnego wykorzystania za granicą. Sytuacja ta stawia nauczycieli wobec autentycznego dylematu: często zdają się, że zmuszeni są oni sporządzać we własnym zakresie materiały, które następnie wykorzystywane są w pracy z dziećmi. Ten ostatni przypadek jest niemal zasadą w krajach Ameryki Południowej.

Mówiąc o polonijnej kadry nauczycielskiej, wżna pamiętać, że w większości przypadków działalność dydaktyczną jest prowadzona niezależnie od innej pracy zarobkowej. A zatem stanowi zajęcie społeczne, szczególnie trudne i wymagające dużego poświęcenia. Należy podkreślić, że nauczyciele języka polskiego nie tylko ponoszą trud nauki tego języka, lecz także wpajają w młodzież poczucie dumy z polskiego rodowodu oraz szacunek do kraju przodków. Jak już wspominałem, nauczyciele polonijni reprezentują bardzo różny stopień wykształcenia i przygotowania zawodowego, co oczywiście decyduje o poziomie i wynikach nauczania. Na przykład we Francji, Wielkiej Brytanii i Szwecji większość nauczycieli posiada zadowalające przygotowanie pedagogiczne. Przeciwstawem tego jest jednak RFN i Dania.

Dokonując pobieżnej oceny należy stwierdzić, że najdynamiczniej szkolnictwo polonijne rozwijało się w wielu krajach w latach 1950-1960. W następnym dziesięcioleciu nastąpił jego poważny kryzys. Zamknięto wiele szkółek, spadła liczba uczniów i nauczycieli. Z aktualnego przeglądu sytuacji oświaty polonijnej nasuwa się następujący wniosek: pomimo postępujących procesów asymilacji, w ostatnich latach wrasta ponownie zainteresowanie nauką tzw. przedmiotów ojęzycznych, co pozwala wierzyć, że będzie się ono nadal rozwijać. Pewne nadzieje należy łączyć z „polityką wielokulturowości” oraz związanym z nią wzrostem zainteresowania młodzieży polonijnej językiem, historią i kulturą kraju pochodzenia przodków. Zwiększający się procent wspomnianej kategorii młodzieży będzie miał istotny wpływ na przyszły kształt oświaty polonijnej.

Sądząc, że ów kształt w poważnym stopniu zależeć będzie od kilku czynników: 1) zmian demograficzno-społecznych Polonii i jej zapotrzebowania na kontynuowanie związków z kulturą polską; 2) aktywności polonijnych władz oświatowych; 3) podejmowania przez instytucje krajowe takich działań, które dopomogą funkcjonowaniu i rozwijaniu szkolnictwa polonijnego.

Jakośkolwiek krajowe podręczniki nie odpowiadają w pełni szkolnictwu polonijnemu, z czego zdajemy sobie sprawę, to jednak pomoc udzielana w zakresie wspomnianych materiałów jest znaczna i obejmuje: podręczniki, książki, czasopismo „Wisłoka” oraz pozycje pomocnicze: płyty, przezroczka, nagrania, mapy, wyroby pamiątkarskie. Na przykład w roku ubiegłym wysłano 5961 egzemplarzy podręczników oraz 2034 różnych materiałów uzupełniających. Uwzględniając potrzeby szkolnictwa polonijnego, Ministerstwo Oświaty wraz z Towarzystwem „Polonia” już w latach sześćdziesiątych uznały za konieczne wydanie specjalnych podręczników przeznaczonych dla tych szkół. Pełna możliwość realizacji nakreślonych zamierzeń nastąpiła jednak w latach siedemdziesiątych.

W roku ubiegłym resort nasz opracował program działalności oświatowej wśród młodzieży polonijnej, w którym spręczywał najpilniejsze zadania i zamierzenia do roku 1980. Za najistotniejsze uznano w programie: zapewnienie szkolnictwu polonijnemu wydawnictw związanych z krzewieniem języka i kultury oraz historii Polski wśród młodzieży polonijnej (podręczniki, czasopisma, filmy); wzmocnienie oddziaływania na szkolnictwo polonijne poprzez nawiązywanie z nim kontaktów przez szkoły krajowe; dalsze doskonalenie różnych form współpracy z nauczycielami i młodzieżą polonijną.

Wspomniana działalność realizuje się w konsultacji i współpracy z Towarzystwem „Polonia”.

Zagadnieniem nie mniej istotnym jest sprawa doskonalenia nauczycieli polonijnych, którzy, począwszy od 1959 r., uczestniczą w kursach metodyki nauczania języka polskiego współorganizowanych przez Towarzystwo „Polonia”. Dotychczas wzięło w nich udział kilkaset osób. Każdorazowo dokładano starań, by w okresie miesięcznego pobytu w kraju nauczyciele polonijni zyskali możliwość najwięcej. To właśnie w trosce o nich podjęto decyzję powołania przy UMCS — Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe, jako centralnej placówki zajmującej się całokształtem spraw związanych z oświatą polonijną. Kursy metodyki, które w ubiegłych latach organizowane były w wielu miejscowościach, od chwili utworzenia Centrum na stałe przeniesione zostały do Lublina.

Do matzenstwa miała Kuberska wielkie szczęście, ale poniekąd tylko. Raz to, że poczęło się jej w tym darzyć dopiero w drugim terminie, czy zgola później nawet; dwa — że chłopcy, jak ich miała dwu, pokazali się obaj śmiertelni.

Za panięńskich czasów coś nikt się na nią specjalnie nie laszczył; w każdym razie nikt taki, same chudziaki czy zgola nawet połamane dziadygi. Czego to tak? Szykowna przecież była z niej panna i z nie najgorszej przedwojennej rodziny. Nie to — i na niczym już speliło. W staropanięństwie dopiero, a może właściwie i później, bo była już bądź co bądź pod sześćdziesiątkę — zaczęli różni żeby sobie na nią ostrzyć. Nie mogła Kuberska pojąć, co jest, czego naraz stała się tak pokupna. Choć nie pojęła, to przystała w końcu na to. „Miałabym wieszcie być ta sierotka...”

Pierwszy mąż co prawda był wdowiec, ale drugi o wiele lepiej już, rozwodnik. Taki wspanialec przy tym, że i w oczy, i za oczyma Kuberskiej (wywiedziała się o tym) rozpowiadał, że rozwiódł się właśnie dla niej. Tak nie było, ale czy to w końcu on nie był sam sobie najlepszy świadek? Zresztą co: nie z żadną inną, a właśnie z nią, Kuberską, ożenił się po rozwodzie. Choć on rozwodnik, ona dużo gorzej, wdowa — i to w dodatku po wdowcu wdowa. I on o dwa lata młodszy.

Nie zaznała Kuberska ani z jednym, ani z drugim, z wdowcem ani rozwodnikiem wiele dobrze — ani też złego nawet. Smykli się obaj prędko. Pierwszy to tam nie jeszcze, wydawało się — umarł, jak to zwykle w życiu bywa. Ale że i drugi nie dotrwał nawet do pierwszego rocznicy ślubu, to już dawało do myślenia. Podejrzewać by można, że chłopom żeniaczka z nią szkodzi, choć trudno,

w swoim drewnianym segmentcie zawsze; mówił, że drewno zdrowsze i nawet wyczytał to w gazecie — że zdrowsze. No, ale i tak umarł. Trumny zaś zawsze drewniane, i czemu? Bo czy zdrowsze?

Chłop stworzenie dziwne: choć się jej dwu, nim się obejrzała, smykło, inni wcale nie oglądali się na to. Nadarzył się zaraz i jeden i drugi — a ten drugi to już ani wdowiec, ani rozwodnik, a zupełnie kawaler. I to właśnie miała mu Kuberska z punktu za złe. Nie mógł to jej łapać, kiedy panna z niej była jak róża i on sam pewnie też jak taki kawaler — zamiast przychodzić teraz, kiedy był jeszcze nawet nie taki stary, ale zawsze dziad? I pogoniła go czym prędzej. Taki stary kawaler najgorsza zrazza, nie przyuczony do niczego, kto wie, czy nabrał w życiu obyczaju choć raz w tygodniu myć nogi, jak go nikt nigdy do niczego nie gonil? I zamiast do mycia nóg czy czego tam gościć, jego samego pogoniła. Ma wszystko swoje granice.

Drugi znowu absztyfikant przypleśniały był jakiś czy zgola nawet gorzej. Nie chciała go, choć rail się i puszył jak mało który. „Bo co, za to, że życie miałam święte całe, na stare lata teraz jak jaka szpitalna siostra będę pokutować? Ani mi w głowie”. I pogoniła spleśniałego kawalera. Co z tego, przyplątał się zaraz trzeci. Mowę można by było stracić, jakby się człowiek chciał tak nieustannie opętać. Uradziła sobie Kuberska na razie dać z tym spokój, a po czasie pozbyć się dziada sposobem. No, jak zechce, zawsze jakiś sposób się znajdzie.

Przyszło jej zresztą na myśl, że z tego trzeciego może być jakiś pożytek.

Ten ów zaś miał fach: ostrzyć noży. Aż dziwno, że w dzisiejszych czasach mógł ktoś trzymać

niewstydnicy jej żywego twaru nie podusili; dużo zdrowia straciła, ale nie żalowała, pewna była, że te straty i męki stokrotnie jej zostaną wynagrodzone. Było nie było, co prawdziwie jako, to prawdziwie, nie to, co zbuli, sprzedawane po sklepach za niewstydnice pieniądze w dodatku.

Kury szybko wyskrobały się z chłopskiej nędzy i wyglądały jak pączki w masle, piórka im się złościły. Podsypywała im Kuberska auto, kury same z siebie były robotne, kiedy tylko się na działkę zaszło, siedziały w koju i wydziobały z ziemi różne specjalne. Niosły też tak, że Kuberska, choć jadła teraz jajka i trzpane, i na miętko na śniadanie, i jajecznicę na boczku, i na twardo nawet brała z sobą ze dwa, to i tak nie mogła wszystkiego przejeść, całe kilo odsprzedawała sąsiadce. Za solidny grosz, ale ta sąsiadka ucziwa, mówiła potem, nie pytana nawet, że warto było i przydałoby się jeszcze.

Z kurami kłopotu mniej niż z chłopami, a pożytku o wiele więcej. Rada była Kuberska. Wybrała się na targ z samego rana i kupiła worek owsa. Pszenicy pół, bo jednak droga. Właściwie to chowała kury za tanie pieniądze, sposobem: zbierała suchy chleb, moczyła go i tyle było zachodu. Kury jak mało czemu rade były takiemu żarcciu. I niosły się jak rzadko, choć nastawały już chłody, miało się pod zimę. Kłopotowała się Kuberska, co to będzie zimą, jakby miała akurat być syberyjska. No, ale czy to tam na wsi miały się kury lepiej? A przecież wyżyły w dobrym zdrowiu. Widać są zimnej rasy, pocieszała się Kuberska.

Ostrzyć calkiem jej z głowy wyszedł. Nie było go, ruszył w dłuższą turę, w tępe jakieś strony. I wcale o nim Kuberska nie pamiętała. Ale on pamiętał dobrze. Jak tylko sięgnął z powrotem,

Lapki na myszy

Marian Pilot

no było dociec, czego: przecież, jak Bóg żywy, o każdego z nich dbała jak o człowieka. Wyraźnie jednak nie tak było, skoro kipnął i jeden i drugi. I czego? Kawał chłopca był jeden w drugiego. I nie specjalni buzownicy, tyle, co każdy chłop buzownik. Drugi (rozwodnik) nawet, powiedzieć można, całkiem bez nałogów, bo nie palił. A jednak i on skończył marnie.

Dla Kuberskiej też to nie były Bóg racy wiedzieć jak wielkie interesy. Sam z trumnamy korowód. Póki człowiek żyje, nie wie, jak trumna jest towar pokupny i drogi. Prawie że po bazarach szukaj i dolarami płac. A ostatnie usługi czegoś o niebo droższe, niż zachód wtedy, gdy się człowiek jawi na świat.

Daje się człowiekowi na samym początku ulgi i zniżki, żeby go potem żyłować, na samym końcu zwalacza.

Do samego końca chcą ludzie jedni z drugich mieć jak największy profit.

I jak Zabłocki na mydle w końcu wyszła Kuberska na tych żeniaczkach. Choć powiedzieć się nie da, jej obaj ślubni gorzej jeszcze. Dla nikogo interes.

To jedno, że na działce Kuberska dzięki mężom odkuła się trochę: co chłopska ręka to chłopska ręka. Obaj zresztą nieboszczycy, jeden i drugi, mieli do grzebaniny żyłkę. Drugi nawet fach miał jak raz; no, a pierwszy to właściwie był działkowego pochodzenia chłop. Od jakiegoś czasu niby to przechadzał się, spacerował koło jej ogródka, zerkał przez płotek, zagadywał miło. Aż zmówili się i pożenili.

Wtedy od razu, całkiem tak, jak to bywa w zwyczajach młodych żonkosiów na wsi, zabrał się wdowiec do budowania. Tyle, że nie taki już był on młody i pobudował się nie na placu a w ogródku tylko. Wziął jednak na związane z budową wydatki ze swojej firmy pożyczkę bezwrotną i wystawił całkiem porządnym gmach. Z siporeksu, biały, z dwoma wielkimi oknami i ganeczkiem. Wszystko własnymi rękami odrobił tak pięknie, że było jak wylizane. Bez wątplenia było się czym pochwalić. Ale też narobił się przy tym jak nieboski i przesilił pewnie nawet — bo człowiek był z niego nagły. Nie nacieszył się swoją budową wiele, nie zdążył, umarł.

Kiedy zaś nastal drugi chłop, rozwodnik — mrucał na ten domek. Nie widział mu się. A czego mu się nie widział: że inny wystawił taki gmach, nie on. Tak mocno stał za Kuberską, że nawet nieboszczycowi nie mógł darować. I żołądkował się tak długo, aż sam się nie zabrał do budowy; nie mógł stawić od początku, to choć przybudówkę chciał postawić.

Nie miał tak jak pierwszy dojścia do siporeksu ani niczego takiego — za to miał do drewna dojście. I dostawił do domu murowanego drewniany domek. Wybił w ścianie przejście. I miała Kuberska na działce lokal dwuizbowy, powiedzieć można — z nadmetrażem. Lepszy niż w blokach, bo tam miała tylko kawalerkę z wanną kucaną.

Póki rozwodnik żył, to pańskie pokoje na coś jeszcze się przydawały — bo przesiadywał on tylko

się tak partackiego fachu. Ale pokazało się, jak jest: fach widzi się partacki, a tymczasem całkiem jest profitny. Dlatego, że ludzki. Ludzie zawsze dadzą drugiemu zarobić lepiej, niż najwyższe nawet urzędy.

Wygląd miał ostrzyć nie okazały, a co: siedział na kapitale. I grał co sobota w totka na grube pieniądze. Przysięgał, że nie wygrywa, musiał kręcić: bo czego by w takim razie grał?

Na te jego pieniądze, choćby były nie wiem jak duże, Kuberska się nie laszczyła, rachowała sobie skromnie: jak już ma być małe piwko, to czego bez pianki? Fach kawalera miała na uwadze: noże, druty, blachy... Coś tu mogło być na rzeczy. Medytowała Kuberska nad swoim pałacem. Pustką te budynki stały, niszczały. Myślała rozebrać przybudówkę, ale mitręgi z tym dużo, a jaki zysk? Kombinowała, czy nie dałoby się czegoś lepszego wywnąć. A to choćby: na kurnik pół gmachu przeobrazić. Tyle, że trzeba by było dobudować jeszcze druciany kojec, żeby miał kury wybierać.

Myślała Kuberska, że taki kojec mógłby postawić właśnie ostrzyć, i to bez żadnych małżeńskich papierów, w kawalerskim swoim stanie.

Ostrzyć parł do ołtarza, ale był to człowiek delikatny i myślący. Wyjaśniła mu Kuberska, że formalnie jej wstyd tak raz za razem molestować rządowe i kościelne urzędy. Tym przemówiła ostrzyć wprost do serca. Ujęły go nawet, podkreślił, tak rzadkie w dzisiejszych czasach cechy charakteru Kuberskiej. Uspokoił się i rozrzewnił nawet. Szepnął starczyło i już zabierał się do kojca.

Obaj mężowie Kuberskiej byli z robotnych i w swoich fachach biegłych, ale ostrzyć, choć z nazwiska ostrzyć tylko, był nie fachman, a magik po prostu. Tak zgrabnie klecił ten kojec, że mógłby i w cyrku za grube pieniądze. Ledwo pół dnia mu na tym zeszło, Kuberska w południe przyniosła w dwójce jado, przekąsił i zabrał się do latania ogrodzenia. Szły siatki drutem jakby czerował jedwabną pończochę. Wróbel by się potem przez nią nie przemknął.

Wręcz do myślenia dawała ta jego tak nadzwyczajna żelazna sztuka, ale Kuberskiej kury były w głowie. Zamierzyła sobie na początek, dla wypraktykowania, kupić cztery, ale nie sztuczne. Dość już miała tych drewnianych kurczaków, hodowanych hurtem na trocinach. Marzyła się jej kura prawdziwa, z kurnika i żeby niosła prawdziwe jak przed wojną jajka. Taką kurę można było dostać na wsi, a i to nie wszędzie — tam, gdzie naród zacołany, bo te kurczęta z piekarnika takie tanie, że co chytrzejsze wsiołki kupują je zamiast trzymać kwoke pod pierzyną.

Mocno to leżało jej na sercu i zrobiła aż trzy raizy, nim we wsi, w której urzędował słynny na całe województwo znachor, zbadał sprawę dokładnie i onytawszy z wszystkich stron, od babusi spod lasu kupiła dokładnie cztery kury. Były te kury mizerotki, podskubane, upaprane — ale też i po tym poznaje się prawdziwą kurę. Sztuczna jest gładka jak niciana rękawiczka i jak ją pościnać — wypnie ją. Co za jaje: w skorupce z bibuły kapka niesolonej wody pomieszanej z kaszką manną. Prawdziwa niejedną raz trzeba pomacać, nim się zaszadzi do niesienia.

W powrotnej drodze zdrowia straciła dużo. Dźwigała kury w dwu dużych kartonach, a w autobusie ścisł i żwawo trzeba było się opętać, żeby

od razu pojawił się u niej. Nawet była rada z tych odwiedzin. Jaki on był, taki był, ten ostrzyć, ale kojec wyszykował jej na sto dwa. Opowiedziała mu o kurach, a potem uczyła jajecznicę.

Ani się spodziała, jak do tej jajecznicy wyciągnął z torby flaszkę. I aż ruski koniak to był. Żeby swojucha albo jaki okazyjny rajzowski bimberk, to by się skusiła. Kieliszczek tam nigdy nie zazakodził, na pewno by się nie struła, teraz zwłaszcza, dobrze na jajecznicę i koglu-moglu odpasiona. Ale pismo zwąchała nosem. Koniak kosztuje drogie pieniądze. Nie bez kozery ostrzyć tak się szarpał. Kombinacje jakieś musiały się kryć za tym.

I pić nie chciała, na nic jego namowy. Molestował, żeby choć ociupinkę, ciutkę choć. Ona nie i już.

Ale co, tak źle i tak niedobrze. Bo zaraz już spodobało mu się, że ona tak od kieliszka z daleka. Ujęło go to bardzo. Nie pojął znaku, a raczej pojął go opacznie. Taki już on pewnie był, że wszystko lubił sobie tłumaczyć na swoją korzyść. Uradowany, odkorkował flaszkę i z tej radości jak sobie chlapił. Pół szklanki z punktu. Za minutkę znowu. A jak już sobie dał do wiwatu — do rzeczy od razu. Jak to ma być z nim!

— Och, panie Julku — westchnęła Kuberska. Nigdy go tak ładnie nie nazywała, ale teraz pomyślała sobie, że czymś by go tu trzeba było ugłaskać.

Ostrzyć tymczasem oburzył się:

— Nie wołaj na mnie tak — zakrzyknął cienko. Dostał piskliwego głosu, widać poszło mu już do głowy.

— Julku... — sprostowała więc Kuberska, myśląc, że tym sposobem na pewno już go udobrucha.

— Julku... — odpisał ostrzyć boleściwie. — Po mesku, ja cię proszę: Jurku. Nie dość, że ojciec z matką tak słabo mnie nazwali, to teraz jeszcze ty.

— Jurku... — raz więc jeszcze musiała się Kuberska zwrócić do niego po imieniu. Na złość przy tym się jej zbierało. Na imię miał ostrzyć Juliusz, jak nie wiadomo już kto tam — ale czego zaraz z tego powodu cudować? Ale tak to jest, jak ma się do czynienia z kimś, kto ma słabą głowę i w dodatku sobie jeszcze tę głowę osłabia przez picie szklankami ruskiego koniaku. Zaczęła Kuberska Juliuszowi, co zwał się Jurek, tłumaczyć słodko i łagodnie jak dziecku, że nieutulone żale budzą się w niej ciągle jeszcze na myśl o świętej pamięci nieboszczycu drugim jej mężu, rozwodniku, który się dla niej rozwiódł, by wkrótce u jej boku umrzeć. Szlochnęła aż, przypominając sobie te dzieje. Potem, by nie dać ostrzyćowi dojść do słowa, zaczęła rozwódzić się o mękach, jakie mąż-rozwodnik cierpił na łożu śmierci. Rozwiódła się szeroko o tym. Spoglądając jednak na ostrzyć Jurka, osadziła po jego minie, że mało mu tego. Cofnęła się więc w czasie do męża-wdowca i o jego z kolei cierpieniach zaczęła opowiadać ze szczerymi łami. Dowiodła powieść do końca i spostrzegła, że ostrzyć wpatruje się w nią — bynajmniej jednak nie takim wzrokiem, jakiego mogłaby sobie życzyć.

— Biedaczka — westchnął trochę bełkotliwie. — Coś ty za życie, co za los z nimi miała. Takie chłopy — no, co począć z takimi chłopami? Faktycznie nie, tylko za chachol i na ementarz ze

dechlakami. Ja tam, jak Bóg sprawiedliwy, kwękać ci nie myślę, a kitować to nawet mi nie w głowie.

I do czego się dogadala: podwalać się do niej, Jurek, dawaj i to podwalać na fest. Uciekać nie było gdzie, mieszkanie nie działka, za małe na to. Jurek zaś na oko chuchro, a mocny, nie ostrzyciel, a po prostu żyłeta — i widziała Kuberska, że żadnym zwykłym sposobem sobie z nim nie poradzi. Udała, że biorą ją laskotki od macanek, śmiać się zaczęła jak szalona, głośno i cieniutko, tak, jakby śmiała się — żyłetka. Jurka ten śmiech podrażcował, uderzył zajadłej jeszcze — a ona cieniej jeszcze zachichotała. Ostrzyciel był jak najlepszej myśli, Kuberska była u siebie i wiedziała, co robi. Nie trzeba było długo czekać, by usłyszeć, jak pani Piekut bije co siły w podłogę kijem od szczotki. A parę chwil później dało się słyszeć stukanie i walenie pięścią w drzwi.

Pani Piekut była stara klempa i miała hisia, w szczególności na punkcie hałasów, wydawanych przez mężczyzn i kobiety do spółki. Rozjuszaly ją takie glosy po prostu. I nie było z nią żartów wtedy. Nie było żartów, bo w swej zajadłości mogła sprowadzić nie to, że radiowóz, ale samego generała milicji. Sama zresztą do milicyjnych posług nadawała się wybitnie. Kiedy więc Kuberska otworzyła jej drzwi, a potem nie postawiła się i nie wstawiła za ostrzycielem Jurkiem — pani Piekut zwinęła go w jednej chwili jak zmoczoną pieluszkę. Z racji swojego fachu miał Jurek do czynienia z ludźmi, ale najwyraźniej nigdy nie miał do czynienia z panią Piekut. Pewnie nie spostrzegł się nawet, kiedy znalazł się na korytarzu; ujeżdżała sobie tam na nim pani Piekut jak na łysej kobyle. Nie była Kuberskiej całkiem w smak taka afera, ale pomyślała sobie, że z panią Piekut jeszcze się policzy, ważne natomiast jest to, że tak gładko pozbyła się ostrzyciela. Po takiej porucie mało który chłop miałby odwagę pokazać się człowiekowi na oczy.

I ostrzyciel taki był, nie pojawiał się; ale nie ze wszystkim taki, bo po jakimś czasie pokazał się jednak na działkach. Na jego widok Kuberska zaczęła się śmiać szydliwie.

— Idź ty, idź ty. Jednej starej baby się wyląkł. Ostrzyciel nie to, że się zawstydzil, ale spieklaka jak panna.

— A, bo to tak — bakał. — Tak jest, jak człowiek sam nie wie, co mu wolno, a co nie, praw swoich małżeńskich nie ma...

Nawet teraz bil ciągle w jedną i tę samą stronę. Powiedziała Kuberska, nie ma co, trzeba pokazać człowiekowi, gdzie przewóz i szlus.

— Ty człowieku przecież zrozum — powiedziała — żem ja dwu chłopów raz za razem pochowała, ot, tak. I co, za ciebie mam iść? Jak ja się będę tyle żeniła, to niedługo już przestanę się w ogóle nazywać. A jak mi jeszcze jeden pogrzeb przyjdzie szykować? Nie powiem, żeby mi serce od tego miało pęknąć, ale tyle za każdym razem się koło tego nachodzę, że nóg potem nie czuję. A ludzie co powiedzą za trzecim razem? Na kraju światła oczu przed nimi nie schowam.

Tak mu wypaliła. I co tu dalej gadać? On jednak na to:

— Jacy tam oni byli, te twoje chłopcy, to ja już tam nie wiem. Może i po to się żenił, żeby miał tam kto pogrzeb porządny wyprawić? Ja, kobito, nie taki, mówię ci: choć swoje lata mam, żyć się wybieram, nie umieram.

Kuberskiej ręce opadły na te słowa.
— A co ty o sobie wiesz, człowieku? — zapytała. — Tak mówisz, jakbyś znał swój dzień i godzinę.

— A ty gadasz tak, jakbyś to za mnie ją znała. Od słowa do słowa: skłócili się porządnie. Pierwsza Kuberska otrząsnęła się z zaciętrzewienia, zakrzyknęła z tryumfem.

— No i widzisz, no i widzisz. Jeszcześmy sobie słowa nie powiedzieli, a już niezgodność charakterów wyszła.

— To wcale nie jest niezgodność charakterów — odrzekł jej ostrzyciel na to z goryczą. — To jest wiarołomstwo. I czegoś ty mnie zwodziła, czego głowę zawracała? Może bym sobie przez ten czas znalazł drugą, kto wie, czy nie lepszą.

— A idź! — zakrzyknęła Kuberska, dotknięta do żywego teraz. — A idź czym prędzej, krzyż ci na drogę.

— Pójdę — odpowiedział. — Żebyś wiedziała, że pójdę. Ale wspomnisz ty mnie jeszcze i to gorzko. Swojej krzywdy nie daruję.

I poszedł. Kuberska dopiero teraz mogła rzucić kurom rozmotzonego chleba.

Kury gdziukały żarłocznie, Kuberska podsypywała im i była rada. Choć raz jej się udało, jak to się w życiu udaje ludziom. Zamiast tracić, choć raz trochę, troszeczkę zyskała. Patrzyła, kury żarły, że aż miło. Będą nosły.

A następnego już dnia okazało się, że jej ostatni starający się był ostrzyciel tylko z nazwiska, bo z fachu i charakteru zwłaszcza całkiem kto inny: nożownik i margines społeczny po prostu.

Bo kiedy tylko zawitała na działki, ujrzała: w siatce, tak pięknie niedawno przez tegoż ostrzyciela pocerowanej — dziura jak nożem ciął. Z daleka też i drugie cięcie dojrzała: kojec rozpruty był z jednej strony od góry do dołu — jak nożem ciął.

Od razu też miała przeczucie i jak podeszła, okazało się, że się przeczucie sprawdziło: kury, jak miała ich cztery, leżały sobie w kocu w równym rzędku, ułożone na lewym boku, a w głowach miała każda z nich swój odcięty łeb.

Kuberska stała nad nimi i kiwała głową.

— Co to jest? — zakrzyknęła potem sama do siebie. — Co to jest, że nic żywego nie trzyma się mnie? I co ja takiego mam teraz hodować — łapki na myszy?

Jan Górec-Rosiński

OLIMPIA

Nie ma zwycięzców
bieg porastają trawy

ostatni tryumfator
domek Fidiasza

moje znalezisko daremności
dręczy się ruinami

W DRODZE DO SALONIK

Ciemna ściana Olimpu
rozszew gwiazdy
po tamtej stronie jest
albo nie jest sens
i żaden Bóg
nie odwróci tego
co w śmierci

NAD GROBEM DANTEGO

Przyszedłeś tu z Florencji
gdzie zielone drzewo poezji
rosło twoją sławę

odpocząć tu chcesz
boską komedią zwabiony?

Przyniosłem ci wiersze
— odejść — rzekłeś —
w tym zgielku
nawet kamień
oka nie zmruży

Zrozumiałem milczenie
grób słowa
mówi więcej
niż wrzask cywilizacji

MONTE CASSINO 1974

Maków czerwonych tu nie było
nie piły polskiej krwi ni rosły
szliśmy wciąż wyżej dalej bliżej
może w zaświaty lub w mogilę?
Góra z mgieł słońce wynosiła
jak ojczyznę Gdzie ojczyzna?
Słońce w znużeniu uderzyło
i wyszły krzyże duchy czarne
i wyszły krzyże matki nasze
i polewały barwą kwiatów
nasze ręce oczy stopy
I zatrzymały śmierci okrzyk
i zatrzymały skargę ziemi
Pytaliśmy gdzie jest Polska
tu jest Polska czy jej nie ma?

Czerwone maki krwi nie piją
ciszę buduje klasztor duchów
mgła welon śmierci płucze w Liri
i głos czyjś milczy Stań posłuchaj!
To biją dzwony w żywą ciszę
w słoneczną ciszę w serca żywe
to biją dzwony w żywe krzyże
w nas mimo nas wciąż dalej bliżej
Góra z mgieł słońce nam wynosi
jak ojczyznę Gdzie ojczyzna?
Za-duszkom znicz zapala rosę
i opromienia ból kamieni
Stoję wśród nich krzyż pośród krzyży
słoneczną kulą wbity w ziemię

Marek Zgórką

SZCZURY TROJAŃSKIE

cóż się nagle stało z faktem świniobicia
że je chcemy podnieść do galęzi sztuki
czyżby w naszym życiu było tyle życia
że chcemy z posoki stworzyć dział nauki

co nam nagle każe jedząc zupę z miski
łyżkę ująć mocnej jak wiosło odysa
i dłaczego ciężar kruchej cienkiej szpilki
czujemy na dłoni jak wielki buzdygan

po co szklanek wódki co do ust niesiemy
nagle wypijamy jak napój sokrata

czemu zwykle gesty którymi żyjemy
traktujemy raptem jak zbawienie świata

czemuż swoje kciuki wznosimy do góry
kiedy nie ma władców ani gladiatorów.
a my ciągle dumni widzimy kontury
domu naszej trumny na krawędzi grobu

niech nam się nie zdaje że kiedy pomrzemy
jak bez obręczy ziemia wyleci w powietrze
kiedy nas zakopią martwi usłyszymy
szelst skór z nas zdartych suszonych na wietrze

OLEODRUK W POMYŚLE PROSTY

albo o kochaniu niczego nie wiedzieć
i o zapadłych gdzieś w sercu uczuciach
tylko wypatrywać kiedy losu jelen
klęknie tuż pod lasem gotów do zaklucia

czy może dosięgnąć twarzy pustych szklanek
oczy im przemywać naparem z herbaty
by nie zaropiały bezradne pijane
miłością zlej wody wlewanej na raty

wąskie ptaki krzyży kraczą antyfonę
ich pióra oświetla blask zwykłego znicza
co szponami chwycą stalowe szalone
żeby nie uszkodzić płonącego życia

albo swoje imię na pchlim targu sprzedać
za pięć świeżych jajek czy też buty nowe
i potem już więcej nie trzeba uciekać
kiedy nam ktoś porznie ręce ostrym słowem

Karol Kawski

PRZECZUCIE

Na kolcach rżyska
jak na odwróconej bronie
cień mój w obawie
że potknę się o promień
i ślepy będę na wszystko
co dzieje się
naprawdę

Pamięci Zdzisława Polsakiewicza
Słowo na pokładzie
a człowiek za burtą

w ustach muszli zamkniętej
jak perla tkwi

pod masztem
bez żagla

Matkę moją staruszkę
jeszcze zegar zwodzi
z dnia na dzień
nie poznaje miasta
które w lonie dojrzeć
nowym kształtem
w przestrzeń

WODA

Po deszczu
ścieżka posłała wodę
do ust
spragnionej ziemi

Nie wracała długo
skraplała się
w kłose

NIE w każdym miejscu poezja renesansowa brzmiałaby z jednakową siłą. Kazimierz wyjątkowo jest dla niej miejscem uprost wymarzonego — pisał po ubiegłorocznych Dniach Poezji Renesansowej Leon Karłowicz na łamach „Sceny” — „Renesansowa architektura zachowana w kamienicach Przybyłów, Celejowskiej czy w starej Farze, bliskość Sycyny, firlejowskiego Janowca, a przede wszystkim Czarnolasu i Zwoleńca oraz wroczy krajobraz nadwiślański — wszystko to sprawia, że strofy naszych wielkich mistrzów Odrodzenia brzmią tu szczególnie przekonująco i autentycznie.

Co więcej — to przecież sam Jan Kochanowski, to wszak również Rej z Nagłowic przemierzali niegdyś rozległą połą Rynku, wspinali się ku Zamkowi, patrzyli wieczorową porą na cichą Wisłę, roz-

Kazimierza, a kulminacyjnym punktem jest wyjazd do Czarnolasu, gdzie w dworcu-muzeum im. Jana Kochanowskiego, wśród portretów wielkiego poety i rekwizytów z epoki, w salach dworku i pod lipami czarnoleskiego parku, mówione są „Treny” i „Pieśni”. I chociaż czasami młodzi recytatorzy gubią się w tekście, choć nieraz zbyt wiele w ich recytacjach „liryczno-sentymentalnego” zaśpiewu lub na odwrót: rubasznosci w staropolskich fraszkach, to w sumie jednak renesansowa poezja mówiona podczas tych „literackich” zgrupowań brzmi autentycznie, czysto i dźwięcznie. Natomiast szczególnego dramatyzmu nabierają niektóre strofy „Pieśni” Kochanowskiego mówione przez niewidomych recytatorów, doskonałych dykcją i głosowo, z zespołu prowadzonego w Lublinie przez Barbarę Ziemiakę:

Zwrócenie uwagi na poezję renesansową jest właśnie jednym z dowodów pracy Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie. Ale popatrzmy szerzej: w 24 zespołach dramatycznych działających w województwie lubelskim grywa się głównie repertuar ambitny, współczesny, i to nie dotyczy tylko zespołów silnych, miejskich, działających pod skrzydłami instytucji kulturalnych, jak na przykład interesujący teatr „Renum” prowadzony przez Reginę Możdżeńską (pisałam o nim w ubiegłym roku w „Kamieniu”) w Lubelskim Domu Kultury, czy też „TE-MA-FOR” przy PSC, ale także zespołów istniejących na prowincji, w małych wsiach lub miasteczkach. Młodzieżowy Teatr Eksperymentalny w Kraśniku Fabrycznym wystawia „Magię” Ireneusza Iredyńskiego, wiejski zespół dramatyczny w Kurowie ma na swoim koncie „Chłopców” Grochowiaka, a obecnie przygotowuje „Szczęśliwe wydarzenie” Sławomira Mrożka, zespół przy Zakładowym Domu Kultury w Poniatowej gra wodewil oparty na tekście Jerzego Ksińskiego — „Fabryka snów”. Gdzież te czasy, kiedy na prowincji grywano nagminnie „Grube ryby” Bałuckiego oraz „Chatę za wsią”?

Zespoły dramatyczne sięgają więc głównie po repertuar współczesny, ale są to zarazem sztuki kameralne, kilkuosobowe, nie wymagające skomplikowanych dekoracji i kostiumów. Coraz większą popularnością cieszy się monodram, a niektóre przedstawienia zespołów dramatycznych zbliżają się raczej do formy teatru poezji.

W teatrze poezji też zachodzą zmiany: rzecz charakterystyczna na przykład, że prawie zupełnie znikło zainteresowanie tak popularnym jeszcze przed niewiele laty Galiżynskim. W 11 teatrach poezji działających w województwie lubelskim najczęściej inscenizuje się poezję Baczyńskiego, Majakowskiego, wielką popularnością cieszą się wiersze Poświatowskiej. Mamy też w województwie podobno 9 kabaretów amatorskich. Piszę „podobno”, bo większość z nich działa od przypadku do przypadku, a to, co robią nie odznacza się na ogół wysoką jakością poza — oczywiście — wiejskim kabaretem „Rzep” z Krzczonowa, który wręcz zaskakuje doskonałością i ciętością tekstów oraz pasją aktorską wykonawców.

Oczywiście, istnieje cały osobny „pion” ruchu amatorskiego, jakim są teatry i kabarety studenckie oraz szkolne zespoły dramatyczne i — szczególnie popularne wśród młodzieży — teatry i estrady poezji. Ale to już temat wymagający osobnego artykułu. Warto tylko wspomnieć, że jeżeli teatr akademicki poszedł zdecydowanie w kierunku eksperymentu lub teatru politycznego, to ruch amatorski w szkołach średnich sięga po to, co robiły teatry studenckie u progu swojej popularności. Nawiązuje przede wszystkim do poezji. Tylko jest to już inna poezja, pisana przez innych poetów.

*Gościu, tak jakoś poczuj, już do końca czytaj,
A jeśli nie rozumiesz, i mnie się nie pytaj!*

pisał w jednej ze swoich fraszek Jan Kochanowski, a podobnie autorowi niniejszego artykułu wypada pod koniec prosić Czytelnika o wspólne zastanowienie się, czy by owego rosnącego wciąż zainteresowania formami poetyckimi w teatrze młodzieżowym nie wykorzystał na gruncie lubelskim celem rozbudowania skromnych Dni Poezji Renesansowej do rozmiaru imprezy nie tylko wojewódzkiej i nie tylko czysto amatorskiej.

Wydaje się, że znaleziono wreszcie odpowiedź na pytanie, jakie stałe imprezy artystyczne — poza, oczywiście, Festiwalom Kapel i Spiewaków Ludowych — mogłyby stanowić o dodatkowej atrakcyjności Kazimierza nad Wisłą, korespondując zarazem z jego przeszłością i „artystycznymi” tradycjami. Mogłoby to być doroczny festiwal lub „dni sztuki renesansowej” z uwzględnieniem nie tylko literatury, ale również muzyki, teatru i malarstwa.

Więcej poezji!

Mirosław Derecki

laną szeroko wśród łach piaszczystych, wśród wysp porośniętych wikliną. Kazimierz wyrastał właśnie na potężny ośrodek handlu zbożem. Wiosną i jesienią zjeżdżała tutaj szlachta dla dopilnowania interesów. Niektórzy dla wygody kupowali na skraju miasteczka obszerne posiadłości; taką właśnie posiadłość mieli między innymi Rejowie z Nagłowic.

Przez trzy dni, od 27 do 29 maja, uczestniczyłem w osobliwej biesiadzie literackiej, jaką są Dni Poezji Renesansowej organizowane przez Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie, Miejski Dom Kultury w Kazimierzu oraz Towarzystwo Miłośników Kazimierza. Używam słowa „biesiada”, bo tak chyba można najtrafniej określić owe spotkania miłośników literatury Renesansu, spotkania wsparte muzyką z epoki, w których mniej się liczą walory aktorskie uczestników, a bardziej sama właśnie literatura, którą przeżywa się, której się słucha podczas wspólnych posiedzeń przy świecach, wśród starej architektury, w kameralnej atmosferze. Brało w tym roku w Dniach udział około setki recytatorów z całego województwa lubelskiego, ludzi w różnym wieku, bo najmłodszy liczył sobie po lat szesnastu, a najstarszy uczestnik — osiemdziesiąt trzy, którym bliskie jest to, co pisali Jan z Czarnolasu czy Rej z Nagłowic, ale również to, co przekazywali w swych strofach Francesco Petrarca, William Shakespeare czy Lodovico Ariosto. Tak to różnego mieszkańcy świata Anglikowie, na których przyszła pamięć o nim powoływał się w jednej ze swoich „Pieśni” Jan Kochanowski, ci także, którzy głęboki strumień Tybrowy pijają, odnajdują się teraz wspólnie z poetą z Czarnolasu wśród kazimierskich uliczek.

Pomysł Dni Poezji Renesansowej zrodził się na początku ubiegłego roku. Miała to być początkowo impreza jednorazowa, zastępująca Konkurs Recytatorski, którego w 1976 r. nie organizowano. Kryszyna Chruszczewska, zajmująca się w lubelskim WDK sprawami popowstania teatru i żywego słowa, postanowiła stworzyć coś w rodzaju „zastępczego” konkursu recytatorskiego, żeby nie odbierać recytatorom możliwości dorocznych spotkań, a zarazem wskazać na możliwość nowych poszukiwań repertuarowych.

Wybór padł na Kazimierz między innymi dlatego, że chciano tam doprowadzić do utworzenia teatryku poezji przy miejscowym domu kultury. Dni Poezji Renesansowej miały się składać z czterech odrębnych koncertów, których tytuły sugerowały układ i zawartość treściową: „Silva rerum”, „Sobie śpiewam a muzom”, „Niechaj narodowie wdy postronni znają”, „Zacni się ródzą z zacnych i cnotliwych”. Rozestano materiały informacyjne i pomocnicze do podległych i współpracujących z Wojewódzkim Domem Kultury placówek i oto okazało się, że akcja znalazła niespodziewanie silny odzew, szczególnie wśród młodzieży, która nagle jakby odkryła na nowo poetów Renesansu. Nawiasem mówiąc, największą popularnością cieszy się poezja Jana Kochanowskiego. W ubiegłym roku w Dniach wzięło udział 56 wykonawców z całego regionu lubelskiego; w tym roku dwa razy więcej z samego województwa lubelskiego. W zasadzie powtórzono schemat ubiegłorocznych Dni, wzbogacając je o koncert zatytułowany „Kto mi dał skrzydła” oraz zapraszając na gościnne występy lubelskie Studium Dramaturgii Współczesnej z „Odprawą poetów greckich”. Który to zresztą spektakl w końcu się nie odbył, bo część lubelskich aktorów nie dojechała na czas.

Dni Poezji Renesansowej połączone są ze zwiedzaniem zabytków i prelekcją na temat historii

*Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie
Twoja laska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi;
Jedno zawždy niech będziemy pod skrzydłami
Twemi!*

Słowa Pieśni XXV w interpretacji niewidomego, jasnowłosego mężczyzny, słowa mówione na porośniętym dzikim winem dziedzińcu Domu Architekta, pod niebem bezchmurnym, w powietrzu rozświetlonym przez uwijające się wokół jaśkółki, słowa te chwytaly za gardło...

Nie wiem, czy Dni Poezji Renesansowej spruwają kazimierską młodzież do założenia własnego teatryku poezji, wiem, że świadczą one o wieloletniej, słusznej polityce repertuarowej, o konsekwentnej działalności wychowawczej i instruktażowej prowadzonej przez wojewódzkie domy kultury. Mówi się dzisiaj o swoistym przewartościowaniu amatorskiego ruchu dramatycznego: wraz z wkroczeniem do naszego życia telewizji zespół dramatyczny, recytatorski czy teatryk poezji przestaje w pewnym sensie pełnić swoją dotychczasową rolę w środowisku. Zmniejszyła się znacznie liczba widzów na amatorskich przedstawieniach i dzisiaj nie wala do remizy, świetlicy czy domu kultury tłumy jak za dawnych lat, gdy wystawiano choćby tylko jakiś tam „Mundur swatem”, lub historię o tym „Jak żołnierz z kolka zupę ugotował”. Praca w zespołach polega często bardziej na samokształceniu, na podnoszeniu wrażliwości artystycznej samych członków zespołu, na samowychowywaniu przez sztukę, ale przecież w ten sposób tworzy się w danej społeczności grupa ludzi, którzy mają wpływ na kulturalne oblicze swojej wsi czy miasteczka. Rzecz w tym, aby ta grupa ludzi potrafiła w sposób świadomy kształtować — choćby tylko na drodze kontaktów towarzyskich — gusta artystyczne i kulturowe środowiska.



Koncert poezji renesansowej na dziedzińcu Domu Architekta w Kazimierzu
Fot. J. Mirosław

W LUBLINIE jak gdzie indziej kwitną obficie imprezy kulturalne... w maju. Chwali się to inicjatorom, wiadomo. **MIEŚIAC KULTURY I OSWIATY**. Ale przycinam się — osobiście wolalabym, żeby kultura i oświata obdzielano nieco równomierniej wszystkie miesiące roku, bo oto jak wygląda np. mój dzienniczek majowy:

Po pięknych uroczystościach Święta 1 Maja, w których uczestniczyłam przy telewizorze, zaczęło się i poszło-o! 3 V — udział, na zaproszenie, w radko zasiadającej radzie artystycznej Teatru im. J. Osterwy. 4 V — premiera „Małego Księcia” Saint-Exupéryego w Teatrze Lalki i Aktora im. H. Ch. Anderse- na, z subtelną liryczną muzyką, skomponowaną przez Niemena (gromki aplauz, wielka gaia) 6 V — spotkanie literackie z uczniami szkoły nr 40 przy ul. Róży Wiatrów (przyczyniam się do wzmocnienia w sympatycznym kilkunastoklasowym audytorium zamilowania do teatru). 7 V — oglądam w Teatrze Muzycznym świeży musical Bolesława Ociasta i Krystyny Ślaskiej „Zawisza Czarny” (relacja w poprzednim numerze „Kamery”). 8 V — mam w Empiku prezentację Studia Dramaturgii Współczesnej, mego oś lat faworyta (tym razem, niestety, jest to nienajlepsza sztuka Krzysztofa Choińskiego „Otwórz drzwi”). 9 V — zjechali gościnnie do Lublina Elżbieta Kępińska z Leszkim Herdegenem. Znowu „Otwórz drzwi” (że też tak znakomitym aktorom zachciało się biedzić nad tymi utrapionymi drzwiami!). 10 V — Chatka Żaka — całkiem udany spektakl ST Provisorium, oparty na Gombrowiczowej „Ferdynandzie” (obiecująca grupa teatralna pod protektoratem RU SZSP UMCS). 13 V — obecność (wprawdzie nieobowiązkowa) na próbie generalnej „Dam i huzarów” w Teatrze Osterwy. 15 V — premiera „Dam i huzarów” (po raz trzeci na tej scenie od wyzwolenia). O tym — potem... 18 V — w Chatce Żaka: Gong 2 — premiera: „Pożegnania” wg Fugarda (ani żartem, ani serio. Niewatpliwie kryzys teatryku po wyjeździe Andrzeja Rozhina... No, ale dobrze przynajmniej, że próbują się pobierać). 20 V — precudowny koncert symfoniczno-chórny z solistami w Filharmonii im. H. Wieniawskiego: „Carmina burana” Orffa. 21 V — Chatka Żaka: spektakl londyńskiego People Shaw (bariera językowa nie żeby aż tak wysoka, ostatecznie język angielski jest u nas względnie dość rozpowszechniony, a i tekstu było niewiele, coż kiedy nie do przeskokowania była bariera pojęć. Owszem, śledziło się z małą ciekawością to, co robią na scenie, ale co to było to, co robili — nie wiem. Nie dziwota: jak informuje pisany na maszynie komentarz, spektakle owego zespołu alternatywnego są to budowane na zasadzie kolażu, pozabawione logicznego wątku ciągły obrazów — powiedziałabym: migawek — tworzonych zespołowo z dyskusji i improwizacji wokół indywidualnych pomysłów wizualnych i tematycznych członków grupy).

22 V — z przedsmakiem dużej przyjemności jadę na VI doroczne Divertimento Nałęczowskie. 23 V — dalszy ciąg Divertimenta. Po powrocie trafiam jeszcze na trzeci popis Społecznego Ogniska Baletowego, którym opiekuje się Towarzystwo Muzyczne im. H. Wieniawskiego w Lublinie. Wielce zasłużone SOB, pod dyrekcją świetnego choreografa, Ma:II Grodzkiej obchodzi właśnie 20-lecie. Program popisu efektownie urozmaicony. Dużo daleko posuniętej sprawności w wykonaniu. Udane układy choreograficzne, zwłaszcza dla grup młodszyc. Najbardziej podobały mi się ćwiczenia rytmiczne w układach M. Grodzkiej, jej „Pół żartem, pół serio”, Wał do muzyki Głazunowa, „Taniec pingwinów” dla maluchów — przy muzyce J. Spyrki, oraz w układzie Zbigniewa Kwiatkowskiego Oberek do muzyki Grażyny Bacewicz i Kanon — muzyka A. Mroszczyk — w układzie Róży Sternik. Konferansjerkę z wervą prowadził aktor Teatru im. Osterwy, Piotr Suchora. Ładne kostiumy zaprojektowały: Lilliana Jankowska, Teresa Targońska i Zofia Szulc. 24 V — wypadło mi skoczyć do Warszawy na posiedzenie w SDP, poświęcone sprawie wychowania estetycznego młodzieży. Wieczorem Teatr Narodowy: Fredry „Maz i żona” w reżyserii Adama Hanuszkiewicza. Extra-bomba! 25 V — wysiadam z pociągu w Nałęczowie: dalszy ciąg delektowania się Divertimentem. 26 V — Finał Divertimenta (jak poprzednio — delacje). 27 V — ochotniczo na próbie „Króla i żebraka” w Teatrze Osterwy (skoro „dwadzieścia siedem prób Andrzeja Wajdy”...). 29 V — i już jestem na otwarciu XVIII Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu (w Teatrze Pol-

5 RAZY TAK NA DIVERTIMENTO!

Maria Bechcyc-Rudnicka



F. X. Reix: Frat unum cantor bonus (Był sobie kantor dobry).
Adrian Milewski i Dobromiła Kokorniak

Fot. P. Barącz

skim — „Baldyn” wg znanej powieści Putramenta, w wykonaniu Teatru Nowego z Łodzi). 30 V — na trzech spektaklach festiwalowych. 31 V — na dwóch dalszych spektaklach festiwalu wrocławskiego...

Uff! Odpocznij przecie po biegu, „wielolatko”! Ponoć i niektórym młodym nielekkko. Ale bogata panorama kulturalna, co? Cieszyć się i cieszyć. Tylko chciałoby się poprosić nieśmiało, w przewidzianiu kolejnego Miesiąca Oświaty i Kultury: nie wszyscy zwieli na raz!

A teraz cześć ten „Sturm und Drang” opisać zchętnie — nie starczyłoby 16 stron „Kamery”. Tedy z konieczności dokonuję selekcji i idę na kompromis z czasem: relacje z festiwalu wrocławskiego przesuujemy do następnego numeru (owa monumentalna impreza zachaczała o czerwiec), coś niecoś ocali się od zapomnienia później, przy różnych okazjach tematycznych... Obecnie zaś zatrzymamy się trochę dłużej na uroczym Divertimencie Nałęczowskim.

Niejaką introdukcją do niego była wspomniana w powyższym dzienniczku „Carmina burana” Carla Orffa. Ciesząco bym zgrzeszyła nie poświęcając kilku dodatkowych zdań tej porwijającej kantacie.

Z muzyką Orffa, kompozytora i dyrygenta współczesnego, zamieszkałego głównie w Monachium, gdzie założył szkołę rytmiki i tańca mimicznego zaktnełam się po raz pierwszy w Jugosławii, w r. 1963, kiedy Teatr im. J. Osterwy (byłam w nim wówczas kierownikiem literackim) zawędrował do Nowego Sadu, na zasadzie wymiany spektakli z teatrem *Srbsko narodno Pozorište*. Otóż ten reprezentacyjny teatr stolicy Wojewodiny wystawiał nie tylko dramaty, ale i operę. Grano właśnie „Mądrą Panią” („Die Kluge”) Orffa, historię o królu i jego mądrej żonie, tematyka zaczerpnięta z bajki braci Grimmów. Podobno rzecz ta, której prapremiera odbyła się we Frankfurcie w r. 1942, weszła do repertuaru wielu scen operowych; nie wiem, czy interesują się nią u nas w Polsce. Pamiętam, zanotowałam po spektaklu: „Die Kluge” jest niewatpliwie dziełem oryginalnym, choć słyszę w nim wyraźne echa muzyki *Musorgskiego*.

„Carmina burana”, „Śpiewy świeckie”

(dosłownie powiedziałabym — wiejskie, pieśni oracza, bo *bura* to rękojeść od sochy), kantata sceniczna, traktowana przez wykonawców raczej estradowo, została skomponowana w latach trzydziestych naszego stulecia, jak informuje „Przewodnik operowy” Stromengera (a zresztą i program Filharmonii H. Wieniawskiego), do tekstów XIII-wiecznego rękopisu znalezionej w klasztorze Benediktbeuern. Jest to cykl miniatur pisanych białym wierszem bądź rymowanych, na przemian w języku łacińskim i staroniemieckim. Stromenger tak scharakteryzował ów zbiór: *Treść — bardzo urozmaicona: sentencje o znikomości szczęścia, satyra na panujące hierarchie, pochwała uciech ziemskich. Spozza kościelnej i bakalarskiej uczoności przebija się rozmach temperamentów młodych i niefrasobliwych.*

Musiało to wszystko zdecydować o charakterze muzyki kantaty. Gdy z drugiej strony biorę pod uwagę informację, że Orff studiował pilnie mistrzów starowłoskiej opery i opracował dzieła teatralne Monteverdiego, zaczynam dostrzegać proces kształtowania się jego języka muzycznego. W skład tego smakowitego „coctailu” z dźwięków wchodzi: i archaizmy, i prymityw folklorystyczny, i wyszukane elementy „moderne”. Można by tu mówić o eklektyzmie, gdyby ta mieszanina nie stanowiła właśnie o jakości uwodzielejsko swoistym stylu Orffa.

„Carmina burana” to pierwsza część tryptyku pt. „Trionfi”. Triumfy czego? Chyba miłości i oroków życia. Tak też brzmiało oratorium w wykonaniu lubelskim pod dyrekcją Adama Natanka. Poprowadził on orkiestrę i chór z właściwym sobie temperamentem, osiągając przy tym nienaganną finezję niuansów.

Wystąpili znakomici soliści: w partii sopranowej — Delfina Ambroziak, barytonowej — Marian Kondella, tenorowej — Jerzy Antepowicz. Mieli nielatwe zadanie. Orff żąda od soprana niesamowitej ekwilibrystyki „wysokogórskiej”, tenorowi stawia wymagania na miarę kondycji maćców z chóru watykańskiego. Wszystkie trudności zostały triumfalnie pokonane. Wobec tego jednak, że solowe występy są w omawianym oratorium w gruncie rzeczy epizodyczne, głównym bohaterem wieczoru stał się Chór Akademicki UMCS, który

po osiemnastu latach pracy z wytrawnymi chórmistrzami osiągnął wysoką rangę i może się poszczycić mnogimi sukcesami w kraju i za granicą. Od r. 1973 pierwszym dyrygentem i kierownikiem artystycznym Chóru jest mgr Jadwiga Czerwińska toteż przypadła jej w udziale duża część oklasków po finale oratorium.

Następnego dnia rozpoczęło się wspaniałe „Divertimento” — *clou* majowych imprez artystycznych. Już szóste z kolei, organizowane przez Filharmonię lubelską, Wydział Kultury i Sztuki UW w Lublinie, Urząd Miasta i Gminy w Nałęczowie, Urządowisko Nałęczów i Towarzystwo Przyjaciół Nałęczowa. Odbywało się jak zawsze w sali balowej Pałacu Malachowskich. Trwało pięć dni. Na pierwszy ogień poszedł „Pierrot lunaire” Arnolda Schönberga, „21 melodramatów na fortepian flet, klarnet, skrzypce, wiolonczelę i głos mówiący”. Użyte tu przez mnie słowo „ogień” nie jest banałem kolokwialnym, sprawa bowiem mogła spalić na panewce. Przecie publiczność z sanatorjów... nerwy... szkopol więc z decybelami, dysonansami, ze *Sprechgesangiem* wznoszącym się aż do krzyku... I znowu zwycięstwo: wszystkich 21 „melodramatów” (niektóre z nich zresztą są parosekundowe), zaserwowanych bez przerwy, wysłuchano w głębokim skupieniu. Ten utwór ekspresjonistyczny z „epoki dekadencji” należy wprawdzie do względnie łatwych dzieł późniejszego wynalazcy techniki dodekafonicznej. Czytelników interesujących się drogą rozwojową kompozycji i teorii Schönberga odsyłam choćby do „Przewodnika koncertowego” Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, nie znam się na dodekafonii.

„Księżykowego Pierrota” słuchałam z niesłabnącym zainteresowaniem, bo i cóż za wykonawcy! Sopran (*Sprechgesang*) — Helena Lazarska, śpiewaczka szeroko znana za granicą, i Zespół Instrumentalny Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie, składający się z jej absolwentów, między którymi są już wirtuozi i wykładowcy. Z Zespołem PWSM współpracuje utalentowana dyrygentka i kompozytorka Joanna Wnuk.

Wielce się zasłużył dyr. Adam Natankiewicz szlachetnej tradycji Divertimenta Nałęczowskiego również pomysłem urządzenia trzech występów Warszawskiej Opery Kameralnej z operami: Giuseppe Maria Orlandiniego „Graczi”, bardziej znaną „Il Maestro di Musica” Pergolesiego i nie figurującymi nawet w „Przewodniku” Stromengera, acz pełnymi wdzięku i humoru, dwoma małymi operami (na jeden wieczór) prażanina Franciszka Wojciecha Brixiego (1732—1771) — „Leniwi szkolarze” oraz „Był sobie raz kantor dobry”. Wszystkie małe opery wykonano w kostiumach i z rekwizytami. W „Graczu”, operze komicznej o niebanalnym temacie klótni małżeńskiej, śpiewali tudzież grali nie mniej znakomicie: Krystyna Sierakowska i Jerzy Artysz, przy towarzyszeniu zespołu muzycznego w składzie: Marek Bojarski (skrzypce), Andrzej Wróbel (wiolonczela), Jerzy Dobrzański (dyrygent — klawesyn).

Opery Pergolesiego nie pozwolił mi usłyszeć i zobaczyć odnotowany wyżej w dzienniczku wypad do Warszawy, ale wysokie zalety jej wykonania znane są z recenzji warszawskich — oczywiście i w Nałęczowie — same zachwyty. Dość przypomnieć: występują tu takie asy, jak Zdzisław Nikodem, Alicja Słowakiewicz i Jan Wolański.

Osobne wyrazy entuzjazmu należą się za opery Brixiego. Toż to arcyzgrabna śpiewana *commedia dell'arte*! I w superwdziępnym wykonaniu śpiewaków, którym biłam zapamiętałe brawo. Są to: Halina Górzyńska, Dobromiła Kokorniak, Adrian Milewski. Gromki aplauz także dla zespołu instrumentalnego „Musicae Antiquae Collegium Varsoviense”. No i ma się rozumieć reżyserce, którą jest Jitka Stokalska.

A więc divertimento w pełnym słowa znaczeniu i *diversità*, wielkie, wielkie urozmaicenie programu, bo oto świetna niespodzianka: na wieczór IV wystąpił znany już Zespół Muzyki Cerkiewnej pod dyrekcją Jerzego Szurbaka, którego pierwszy koncert odbył się w 1972 r. w Kościele Ewangelickim w Warszawie, stałej siedzibie Koncertów Muzyki Dawnej, organizowanych przez Warszawską Operę Kameralną. Litanie, antyfony, troparioiny itd. znakomitych twórców muzyki religijnej wywołwały na sali piękny, rzewny nastrój.

Na czoło lubelskich majowych imprez kulturalnych zdecydowanie wysuńnięto się Divertimento Nałęczowskie.

VII LUBELSKIE SPOTKANIA WOKALISTÓW JAZZOWYCH

Tu się śpiewa jazz

Istvan Grabowski



Jan Ptaszyn-Wróbelski
Fot. P. Karpiński

TRUDNO zgodzić się z twierdzeniami niektórych malkontentów, jakoby polski jazz znajdował się nadal w defensywie. O wzmożonej aktywności środowiska jazzmanów świadczy wymownie fakt wielkiego uznania za granicą, powstawania coraz to nowych zespołów uprawiających tę muzykę oraz wzrastająca liczba ogólnopolskich imprez jazzowych. Do tradycyjnych Spotkań Jazzowe i Jazzu nad Odrą należy dziś dołączyć Krakowskie Zaduszki Jazzowe, Old Jazz Meeting zwany też Złotą Tarką, Nadbałtyckie Spotkania Jazzowe — Jazz Jantar, Konkurs Pianistów Jazzowych, Pomorską Jesień Jazzową, Ogólnopolski Konkurs Big-Bandów, Konkurs Improwizacji Jazzowej i Lubelskie Spotkania Wokalistów Jazzowych.

Lubelskie spotkania, już siódme z kolei, służącej mają, jak głosi regulamin konkursowy, prezentacji i popularyzacji nowych twarzy wokalistyki jazzowej. I w tym miejscu zaczynają się poważne komplikacje. Musimy bowiem zdać sobie sprawę z tego, iż wokalistyka jazzowa nie cieszy się (przynajmniej w naszym kraju) zbyt wielką popularnością. Toteż wielu kłopotów nastęrczyłoby nam pewnie znalezienie większej liczby nie tylko nowych, ale też i starych twarzy wokalistyki jazzowej. Stąd w lubelskiej imprezie startowali dotąd różni ludzie, często nie mający nic wspólnego z muzyką synkopowaną.

Tegoroczne Lubelskie Spotkania Wokalistów Jazzowych uznać należy, być może, za moment przełomowy w rozwoju tej niewątpliwie ciekawej i pozytywnej imprezy. Jak nigdy dotąd bowiem do konkursu zgłosiło się 19 młodych ludzi, którzy zadeklarowali się, przynajmniej w Lublinie, śpiewać jazz. Po pierwszych przesłuchaniach jury pod przewodnictwem znanego organisty i kompozytora Krzysztofa Sadowskiego postanowiło zakwalifikować do drugiego etapu aż 10 osób. Zaiste poziom reprezentowany przez tegorocznych konkursowiczów był wysoki.

Pierwsze miejsce i nagrodę Naczelnej Redakcji Muzyki Rozrywkowej i Estrady Polskiego Radia i Telewizji w wysokości 10 tysięcy zł otrzymał śpiewak z Budapesztu Tamas Berki. Pamiętają go być może niektórzy słuchacze z pierwszych Spotkań, choć wtedy niczym specjalnym się nie wyróżniał. W tym roku Berki zachwycił publiczność i jurorów znakomitym wyczuciem swingu i prawdziwie jazzowym feelingiem. Przyznam szczerze, że już dawno nie słyszałem tak doskonałego wykonania popularnego standardu „Fiver”, jakie zaprezentował młody Węgier.

Druga nagroda, równie zasłużona, przypadła wokaliście stosunkowo luźno związanemu z jazzem — Leonardowi Kaczanowskiemu. W śpiewie studenta Wydziału Rozrywkowego katowickiej PWSM wyraźnie wyczuwa się wpływ „czarnych” — Steve Wondera i Donny Hathaway. I choć Kaczanowski wydał się niektórym wokalistą bardziej rockowym niż jazzowym, zasłużył na nagrodę sporymi umiejętnościami wokalnymi i dużą siłą przebicia. Jest on przy tym dobrze zorientowany w tendencjach muzyki współczesnej, nieźle operuje aparatem głosowym, ma dobrą dykcję, a ponadto gra i to nieźle na fortepianie w big-bandzie szkolnym PWSM, co niewątpliwie poszerza jeszcze jego muzyczne horyzonty.

O ile dwie poprzednie nagrody otrzymali amatorzy lub półamatorzy, to trzecią przyznano profesjonalistce, urocznej poznaniance Halinie Banaszak; solistce znanej grupy jazzu tradycyjnego Sami Swoi. Banaszak ma więc za sobą spory staż i obficie estradowe; którego niestety brakowało niedawnemu amatorowi. W Lublinie zaprezentowała kilka chwytliwych standardów jazzowych, z których najlepiej zabrzmiał słynny temat Gershwina

„Summertime”. Warto ją zapamiętać, gdyż zapowiada się na wielką gwiazdę polskiego jazzu.

Z uwagi na wyrównany poziom pozostałych wykonawców jury postanowiło wyróżnić piątkę wokalistek: Barbarę Kowalską z Gdańska, śpiewającą kiedyś w Filipinkach, a następnie w grupie Sekwens, Janę Koubkova z Pragi, Urszulę Delbowskią z Bydgoszczy oraz dwie studentki katowickiej PWSM, Lidę Maciejewską i Krystynę Wolny. Najlepiej z całej piątki wypadła Jana Koubkova — jedno z największych odkryć czeskiego jazzu ostatnich lat. Koubkova nie tylko czuje swing i ma szalone wyczucie rytmu, ale też dysponuje pełnym głosem o nienagannej artykulacji.

Podsumowując tegoroczny konkurs z zadowoleniem wypada stwierdzić coraz większe zainteresowanie wokalistyką jazzową ludzi młodych, stawiających często pierwsze kroki na estradzie. Profesjonalistów śpiewających jazz mamy w kraju niewiele i być może dzięki lubelskiej imprezie dochowamy się z czasem nowych gwiazd, których, jak na razie, ciągle brakuje.

Ale Lubelskie Spotkania Wokalistów Jazzowych to nie tylko konkurs wokalistów — amatorów. Równolegle bowiem do niego odbywają się w naszym grodzie koncerty popularnych solistów i grup



Laureatka trzeciej nagrody w konkursie wokalistów
Hanna Banaszak



Jeden z najlepszych wokalistów jazzowych w kraju — Czesław „Mały” Bartkowski, produkował się z grupą MAINSTREAM

Fot. P. Karpiński

jazzowych. Tak się dotąd dobrze składało, że gościliśmy prawie całą czołówkę jazzową, a trzydniowy mitting był istotnie przeglądem tego, co w jazzie najlepsze i naprawdę godne uwagi. W tym roku było o wiele skromniej. Najwidoczniej zagraniczne wojaże tak mocno zaabsorbowały naszych jazzmanów, że gościliśmy zaledwie pięć grup i słownie jedną solistkę.

Dość skromny skład wykonawców oraz stosunkowo późno rozpoczęta akcja reklamowa Spotkań spowodowały, że podczas koncertów w Domu Nauczyciela, a ostatniego dnia w hali OSiR, sale świeciły pustkami. Tak niskiego zainteresowania jak w tym roku ciekawą w końcu imprezą o randze ogólnopolskiej jeszcze chyba nie było.

Osobiście wiele obiecywałem sobie po koncercie jazz-rockowej grupy Laboratorium, od pewnego czasu uchodzącej za jedną z najciekawszych formacji jazzowych w naszym kraju. Laboratorium, idące w ślady elektrycznej linii Weather Report i Herbie Hancocka, przebojem zdobywało coraz większe grono sympatyków, a wydana w roku ubiegłym płyta długogrająca „Pięciobój nowoczesny” uchodzi dziś za rarytas muzyczny. Tymczasem w Lublinie grupa jakoś nie zachwyciła. Być może zdecydował o tym nowy repertuar. Wydaje się, że dostrzegli to również sami muzycy, zmieniając do koncertu galowego prezentowane utwory.

Ciekawie natomiast zaprezentował się bułgarski Kwintet Wesselina Nikolova. Utwory Nikolova oparte na oryginalnym, bułgarskim folklorze niosły ze sobą dynamikę i nastrojową tajemniczość (głównie dzięki dzwonkom i ciekawej barwie fortepianu). Dlatego też po nieco nudzącej Grupie Organowej Krzysztofa Sadowskiego publiczność nagrodziła Kwintet rześnymi brawami. Z równym zainteresowaniem przyjęto występ szwedzkiej piosenki Kisy Magnusson. Kisa, zwana w swym kraju „Pani Dynamit”, jest aktorką i wokalistką o szerokich zainteresowaniach. Śpiewała dotąd prawie wszystko. Z równą swobodą potrafi dziś wykonać na estradzie klasyczny bluesa, rock and roll, szlagiery pop i standardy jazzowe.

Warto by jeszcze wspomnieć o imprezach towarzyszących pod nazwą Labirynt Jazzowy, odbywających się w piwnicach Lubelskiego Domu Kultury. O ile bowiem na koncertach w sali Domu Nauczyciela publiczność czuła się jakby skrepowana, o tyle nocne występy muzyków i tradycyjne jam sesion miały prawdziwie jazzową atmosferę i oprawę. Zarówno muzycy jak i słuchacze bawili się doskonale.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Druga Nadwiślańska ma się ku ukończeniu, bliska jest już chwila, kiedy zaczniemy z jej dobru i dożytku korzystać. Lecz aby dobru dożytku te były zu-

pełne: to jest aby kolej zabierała do Warszawy jak największą ilość produktów naszej guberni potrzebujemy koniecznie dróg bocznych dołączających do wszystkich stacji kolejowych [...]. Od Puław ku północy droga żelazna prowadzona równoległe do Wisły, przecina wszystkie drogi boczne, jakimi dotąd zboże i drzewo szło do spławu. Tam więc komunikacja z koleją za pomocą dróg bocznych jest prawie dostateczna. Za to z siedmiu stacji pomiędzy Puławami a Bugiem — dwie tylko, Lublin i Chelm, są na przecięciu znaczącej liczby dróg bocznych. [...]

A jednak bez dróg bocznych owe ogromne sumy na kolej łożone będą zmarnowane dla rolnictwa. Straty jakie się wynikną nie tyle obchodzą spółkę eksploatacyjną, tę bowiem zabezpiecza gwarancja rządowa. Tym więcej przecięć leży w interesie sądu i właścicieli ziemskich postaraj się o wypełnienie wszelkich pod tym względem braków, o nakreślenie, gdzie trzeba nowych linii komunikacyjnych bocznych, a przede wszystkim o przeprowadzenie dawnych do stanu używalności.

— Moda uniwersalnej rumaczi, której dotąd podlegali tylko ludzie, znajduje dnia nastawców i w zwierzęcym świecie. Wzorów przywieziono do doktora X słazę drzewa wyrąbany z dębowego starodrzewia. Przy składaniu z wozu wymanął się ze środka rozstapanej szczy-

py znacznej długości wąż i znikł szybko w ciemności, gdzie ze względu na znaczne zapasy drzewa odzyskać go było nieprawdopodobniństwem. Węże, jak wiadomo, niezdają do stworzeń długowiecznych — spodziewać się więc należy, że ten nowy lokator w naszym mieście nie przędo zmieni mieszkanie, tym więcej, że według zdania szanownego doktora w mowie będący gatunek może się obyć bez trawy i lasu długie lata.

„Kurier Lubelski”

Donosimy, że były uczeń tutejszego gimnazjum P. Jan Stewich wynalazł aparat do suszenia kartofli. Otoż obecnie donosi „Kurier Poranny”, że z aparatem tym były dokonywane próby w Uniwersytecie Warszawskim okazał on się zupełnie dobry, wynalazca uzyskał patent.

„Gazeta Lubelska”

PRZED 50 LATY
Kalinowszczyzna, to może najbardziej dzisiejsza. Najrozleglejsza, i najbardziej zanieczyszczona. Taka była przedtem i taka jest teraz. Widziałem wście porządną utrzymaną niż Kalinowszczyzna. Nie ma tam, zresztą jak i w innych przedmieściach, bruków, oświetlenia jezdni. Na domiar złego Kalinowszczyzna osłada na terenie falistym. Podczas słońca jesiennych, czy rozstapów wiosennych, przejeżdż tamteży niepodobna. Po ścieżkach porośniętych, śliskich, ludzie wówczas zjeżdżają w dół, padając w

biło, narażając się na kaleczeń, niszcząc sobie ubranie i obuwie. Dzieci, które idą do szkoły na naukę, płaczą przechodząc przez owe drożki strasne i niebezpieczne. Te tragiczne widoki wywołują u widzów śmiech przez łzy. W nocie niekiedyowe Kalinowszczyznę ogarniają ciemności.

„Ziemia Lubelska”

Preliminarz budżetowy nie przewidywał na ten cel żadnego kredytu, a jednak magistrat wydał nieprzewidywanych 14 548 zł na nieprzewidziane wydatki. Przewidujący Magistrat. Wydał zaś tę sumę bez uchwały organów, uprawniających do tego.

U wylotu odgałęzienia nowej drogi przez łąkę leżało kilkanaście rur kanalizacyjnych należących do Uleny. Magistrat prowadzący obecnie roboty na tym terenie, rozpoczął wytrącanie odcinka i rozszerzenie wylotu od ulicy Foksalnej. I oto robotnicy zasypują rury ulenowskie ziemią. Niektóre rury zostały już zupełnie zasypane. Zdumienie ogarnia, z jakiego powodu zasypuje się przedmioty mające pewną wartość i mogące przynieść pożytek w innych okolicznościach. Może Magistrat zechce wejść w tę sprawę i naprawi niepotrzebne szkód.

„Głos Lubelski”

Wybrała: Anna Orzechowska

prawo i życie

5 SIERPNIA 1975 r. funkcjonariusz Komendy Dzielnicowej MO Wrocław — Śródmieście zatrzymał śpiącego na skwerku w stanie nietrzeźwości Romana N., doprowadził go do aresztu teje Komendy, co zostało odnotowane w Księdze Zatrzymań, a następnego dnia postawił przed obliczem dostojnego Kolegium ds. Wykroczeń z wnioskiem o ukaranie jako pasażera w trybie przyspieszonym, choć ustalono w momencie rozprawy, że Roman N. poczynił i ma stałe miejsce zamieszkania. We Wrocławiu. Całkiem bliźutko od siedziby Komendy Dzielnicowej MO. Kolegium ukarało obwinionego grzywną w wysokości 1500 zł z zamianą na 30 dni aresztu, nakazując jednakże natychmiastowe zapłacenie grzywny. Prośby delikwenta o zawiadomienie żony lub odwiezienie go do domu, aby mógł tę grzywnę zapłacić i następnego dnia powrócić do pracy i życia rodzinnego, nie zostały uwzględnione. Przesiedział cały miesiąc w zakładzie karnym. Ale — po kilku dniach rozpaczliwego poszukiwania zaginionego przez żonę i niezmiennie jednakowych odpowiedzi funkcjonariuszy Komendy Dzielnicowej MO, iż nic o takowym nie wiedzą, choć znowu w księdze była adnotacja, że pod konwojem został przekazany do aresztu — wylowiono z Odry topielca. Nie wchodzić w bliższe szczegóły (sprawa była dokładnie opisana w nr 44 „Prawa i Życia” z dnia 31 X 1976 r. pt. „Tragikomedia pomyłek”) wzmówiono owego topielca rodzinie jako rzekome zwłoki zaginionego męża. Żalobna wdowa je pochowała, wydatki pokryła z pożyczek i odprawy pośmiertnej, po niecałym miesiącu otrzymała również 28 tysięcy odszkodowania z PZU z tytułu grupowego ubezpieczenia od śmierci. Nie utuliło to rozpaczliwej wdowy i sierot. Ale czas powoli zaczął leczyć te rany.

Aż tu dnia 6 września 1975 r. do mieszkania pochowanego już przed dwoma tygodniami Romana N. ktoś: puk, puk. Otwiera drzwi córka i pada na ziemię: na progę stoi nieboszczyk. Ulega także ciężkiemu szokowi psychicznemu „wdowa”, co w efekcie pociąga za sobą półroczny pobyt w szpitalu psychiatrycznym, znaczny rozstrój zdrowia i ograniczenie zdolności do pracy (inwalidztwo III grupy).

Cóż zatem mogło z tego wynikać jako prawne następstwo zdarzeń? Niestety, tylko procesy. Najpierw zatem „wdowa” została wyrokiem sądowym zobowiązana do zwrócenia FZU co do grosza całego otrzymanego od PZU odszkodowania. Następnie rozpoczął się proces z jej powództwa przeciwko Skarbowi Państwa (Komendzie Wojewódzkiej MO we Wrocławiu) o odszkodowanie z tytułu rozstroju zdrowia, krzywdy moralnej i poniesionych wydatków na pogrzeb obcego człowieka. Prononowała załatwienie swej pretensji w drodze ugody, ale radca prawny Komendy Wojewódzkiej przekonał swych zwierzchników, że trzeba się prawować.

W Sądzie Wojewódzkim we Wrocławiu sprawę w dniu 27 I 1977 r. przebrał, ale bynajmniej nie dlatego, iż protestował, że pełnomocnik powódki położył na swoim stoliku egzemplarz „Prawa i Życia”. [...]

Jak wiadomo, dla żadnego sądu w Polsce, a chyba i gdzie indziej, artykuły w gazetach nie są dowodami w sprawie, z jednym wyjątkiem: jako dowody przestępstwa w treści druku. Sąd dysponował aktami dochodzenia prokuratorskiego w sprawie „śmierci N.N.”, czyli owego wylowionego z Odry topielca, gdzie znajdowała się również owa — przedstawiająca prawdziwe okoliczności zatrzymania Romana N. przez MO i fakty udzielania jego żonie nieprawdziwych informacji — notatka. I do tego żadnej gazety nie potrzebował. [...]

Analizując jednak zebrane w sprawie dowody i stosując jedynie wykładnię prawną, Sąd Wojewódzki zasądził od Skarbu Państwa na rzecz Krystyny Z. i jej małoletniej córki odszkodowanie w łącznej wysokości 30 000 zł, a nadto rentę (okresowo po 556 zł miesięcznie), a po 142 zł miesięcznie od dnia 6 IX 1976 r. Pozytywnie dla powódek Sąd Wojewódzki rozstrzygnął także kwestię kosztów pogrzebu, stwierdzając w uzasadnieniu, że zgodnie z tego tytułu dodatkowo dla nich 3500 złotych:

Koszty pogrzebu zamknęły się kwotą 10 000 zł. Na kwotę tę składa się wydatek na trumnę, tabliczkę, krzyż, wieńce, zdjęcia, opłata księdza, garderoba żalobna powódki i dziecka oraz przyjęcie dla członków rodziny po pogrzebie. Z zakładu pracy N. otrzymała po-

TRAGIKOMEDII OMYŁEK — FINAL

wódka odprawę pośmiertną w kwocie 6500 zł, wydała ją na koszty pogrzebu. Pozostałą sumę dołożyła z pieniędzy które wcześniej pożyczyła w ORS-ie i 1500 zł pożyczyła u córki (starszej z poprzedniego małżeństwa).

Zasądzono również na rzecz powódki 4200 zł kosztów procesu.

Wyrok swój Sąd Wojewódzki — na podstawie ustalonego stanu faktycznego — uzasadnił, jak następuje:

Z zebranego materiału dowodowego wynika, że pomiędzy przyczynami powódki i dziecka a działaniem funkcjonariuszy Komendy Dzielnicowej MO Śródmieście istnieje bezpośredni związek przyczynowy. Zawinione działanie tych funkcjonariuszy polega na tym, że nie udzielili powódce w dniu 9 VIII 75 r. zgodnej z rzeczywistym stanem rzeczy informacji o zatrzymaniu N. w dniu 5 VIII 75 r. oraz dopuścili się uchybień w zakresie czynności poszukiwawczych.

Od wyroku Sądu Wojewódzkiego została złożona przez stronę pozwaną rewizja, wywiedziona w piśmie z 26 II 1977 r. przez radcę prawnego KW MO mgr Mirosława Sobieraka. Zarzuca w niej Sądowi Wojewódzkiemu: naruszenie prawa materialnego przez błędną jego wykładnię, w szczególności przez przyjęcie m. in. art. 417 kc; niewyjaśnienie wszystkich okoliczności faktycznych istotnych dla rozstrzygnięcia sprawy; sprzeczności istotnych ustaleń sądu z treścią zebranego w sprawie materiału dowodowego przez funkcjonariuszy MO i związku inwalidztwa powódki ze zdarzeniem; istotne uchybienie procesowe — i w związku z tym wnioski o uchylenie zaskarżonego wyroku w całości i oddalenie powództwa przy uwzględnieniu kosztów postępowania za I i II instancję według norm przepisowych, ewentualnie o uchylenie zaskarżonego wyroku w całości i przekazanie sprawy sądowi pierwszej instancji do ponownego rozpoznania — przy uwzględnieniu kosztów postępowania sądowego.

Nad niezdolną do pracy rencistką (wówczas 913 zł miesięcznie) zawiśla zatem wielka groźba. Radca prawny KW MO wywodził bowiem, że wszystko się stało wyłącznie z jej winy: że gdyby nie zostały rozpoznane przez jej córki zwłoki topielca z Odry jako zwłoki Romana N., to nie byłoby całego kramu. Domagał się zarazem — chyba z ostrożności procesowej — przyznania do odpowiedzialności cywilnej Kolegium ds. Wykroczeń i Zakładu Karnego, w którym Roman N. — po doprowadzeniu go przez funkcjonariuszy MO — przesiedział okrajowy miesiąc, nie wiedząc, że na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu na pewnym żwiężym grobie przybito na krzyżu tabliczkę z jego imie-

niem i nazwiskiem oraz datą urodzenia i śmierci.

Na rozprawie rewizyjnej w dniu 13 kwietnia 1977 r. przed Sądem Najwyższym w Warszawie pełnomocnik KW MO we Wrocławiu podtrzymał swoje zarzuty w całości, podkreślając z naciskiem, iż istnieje zarządzenie ministra Spraw Wewnętrznych, zabraniające organom MO udzielania informacji o zatrzymaniu obywatela. Z jednym ponoc tylko wyjątkiem: należy zawiadomić zakład pracy, ale jedynie wówczas, gdy wywołana działaniem MO nieobecność danego obywatela w pracy może zagrozić ciągłości ruchu lub

w tej Komendzie fakt zaginięcia jej konwojanta Romana N. i wyszukała ze strony dyżurnego funkcjonariusza zapewnienie, że N. nie został zatrzymany przez funkcjonariuszy tej jednostki, co było oczywistą nieprawdą.

Gdy więc poprzednie poszukiwania przeprowadzone przez powódkę w pogotowiu ratunkowym i szpitalu dyżurnym okazały się bezowocne, a powódka została wezwana przez Komendę do rozpoznania wywołanych z rzeki zwłok, zjawiających się w stanie daleko posuniętego rozkładu, to w tych okolicznościach zrozumiałe i od początku usprawiedliwione było pomyłka w identyfikacji zwłok tym drogą, gdy wskutek zbiegu okoliczności zgadzają się ze sobą pewne charakterystyczne szczegóły, które zostały uznane za cechy rozpoznawcze (taki sam tatuaż, zmażany w płucach, blizna po operacji wrostka robaczkowego, ulamany ząb, blizna na łuku brzowowym). W dalszym przebiegu wydarzeń po pogrzebieniu błędnie rozpoznanych zwłok zjawili się po odbyciu zastępczej kary pozbawienia wolności Roman N. W wyniku tego spłotu wydatków obie powódki doznały rozstroju zdrowia. W tej sytuacji prawidłowy jest pogląd Sądu Wojewódzkiego że istnieje normalny związek przyczynowy pomiędzy udzieleniem powódce nieprawdziwej informacji, w związku z dokonaniem zgłoszenia o zaginięciu N., a szkodą (rozstrojem zdrowia). Istotne dla przyjęcia związku przyczynowego (art. 361 § 1 kc) jest przy tym to, że sama możliwość identyfikacji zwłok jako szczątków Romana N. została powódce zasugerowana przez Komendę, skoro Komenda wezwiała powódkę do identyfikacji, pomimo że zatrzymanie N. przez tę Komendę mogło być bez najmniejszych trudności ustalone przez zjawienie chociażby książki zatrzymanych, z której wynika, że załadowie przed dwoma dniami N. został odprowadzony po dwudniowym pobycie w areszcie i rozpracie przed kolegium do więzienia (k. 11). Gdyby funkcjonariusze Komendy dołożyli — przy wykonywaniu powierzonych im obowiązków — należytej staranności, nie doszłoby do tragicznych w skutkach pomyłek.

Nie do przyjęcia jest reprezentowany w rewizji pogląd, że funkcjonariusze Komendy MO nie są uprawnieni ani zobowiązani do informowania rodzin osób zatrzymanych w areszcie. Przede wszystkim zakaz taki nie wynika z przepisów prawa — przeciwnie: z zeznań św. Górczaka, inspektora wydziału kryminalnego Komendy MO wynika wyraźnie, że obowiązowała powszechna praktyka informowania rodzin osób zatrzymanych o zatrzymaniu. Po utórze, konkretne okoliczności sprawy, jak i oczywiste dla każdego względy humanitarne przemawiały za starannym zbadaniem sprawy, co najmniej jeszcze przed wzywaniem powódki do identyfikacji zwłok. Gdyby więc nawet w szczególnych okolicznościach sprawy (które w tej sprawie nie zachodziły) funkcjonariusze MO nie mogli poinformować powódki o zatrzymaniu N., to w żadnym razie nie mogli udzielać jej nieprawdziwych wiadomości i wzywać jej do rozpoznania zwłok. Z tych przyczyn należy uznać, że osoba, która doznała rozstroju zdrowia w następstwie nieprawdziwej informacji udzielonej jej o losie osoby bliskiej przez funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej na skutek dokonanego zgłoszenia o zaginięciu, może domagać się na podstawie art. 417 § 1 kc odszkodowania od Skarbu Państwa.

W sprawie niniejszej zaniechania funkcjonariuszy Komendy nie wyczerpują się tylko na tym. Jak to bowiem Sąd Wojewódzki prawidłowo ustalił funkcjonariusze ci zbagatelizowali prośbę N. o doprowadzenie go do mieszkania, mimo wyraźnego pouczenia przez przewodniczącego kolegium orzekającego, a nawet nie zawiadomili powódki o zatrzymaniu. Wreszcie — jak słusznie podniosła strona powodowa — nie było żadnych podstaw natychmiastowego doprowadzenia N. do zakładu karnego, jak również do postawienia go przed kolegium w trybie przyspieszonym. Chybione są zarzuty podniesione w rewizji co do ustaleń sądu w tym przedmiocie. Ustalenia te bowiem oparte są na podstawie zeznań św. N. i zeznań świadków, którym Sąd Wojewódzki dał wiarę.

Tadeusz Kur

spowodować niebezpieczeństwo przez niezorganizowanie na czas jego zastępstwa. Na pytanie Sądu, czy zarządzenie to zabrania expressis verbis informowania osób najbliższych o fakcie zatrzymania ich męża lub ojca, pełnomocnik strony pozwanej udzielił wymijającej odpowiedzi. Próbował natomiast znowu skoncentrować się na artykule z „Prawa i Życia”, na co Sąd zasądził, czy nie ma pod ręką argumentów prawnych.

Przedstawiciel powódek, adw. Stanisław Afenda z Wrocławia, wnosil o utrzymanie wyroku I instancji, a ustosunkowując się do argumentacji radcy prawnego KW MO, iż funkcjonariuszowi nie wolno udzielać informacji o zatrzymanych, bo złamałby przepisy służbowe stwierdził, że w takim razie funkcjonariusz MO nie powinien udzielać żadnej odpowiedzi, zamiast informować fałszywie.

Sąd Najwyższy oddalił rewizję i zasądził od strony pozwanej na rzecz powódki kwotę 1903 zł tytułem zwrotu



Rys. M. Bukowczyk

kosztów postępowania rewizyjnego. Po dokładnym opisie stanu faktycznego czytamy w uzasadnieniu wyroku Sądu Najwyższego:

Wbrew zarzutom podniesionym w rewizji rozstrój zdrowia powódek jest następstwem błędnej informacji udzielonej im przez funkcjonariuszy Komendy Dzielnicowej Wrocław — Śródmieście, a nie błędnej identyfikacji wydobytch z Odry zwłok. Powódka zgłosiła bowiem w dniu 9 8 1975 r.

Bezpodstawne są również te zarzuty, które dotyczą ustaleń sądu co do rozmiarów szkody powódek. Ustalenia te bowiem są wynikiem bardzo wnikliwej przeprowadzonego postępowania dowodowego i opierają się na stanowczej, szczegółowej i nie nasuwającej żadnych zastrzeżeń opinii biegłych lekarzy [...].

Kultura 1977

FILM

● Chyba niespodziewanie nawet dla swoich twórców filmowe serie telewizyjne cieszą się ogromną popularnością. Odpowiadając zaproszeniu, produkujemy ich coraz więcej. Tak więc powstaje trzecia seria „Czterdziestolatka”. Gotowych jest sześć pierwszych odcinków noweli, realizowanych przez młodych i różnych reżyserów, pod ogólnym tytułem „Sytuacje rodzinne”. Serial Andrzeja Titkova będzie opowiadał o środowisku lekarskim, a drugi (kilku reżyserów) o problemach sportowców. Czynną w rodzaju powieści telewizyjnej będzie 10 odcinków „Punktu widzenia”. Andrzej Szypulski jest autorem scenariuszy „Wielkiej Huty” według noweli Albina Sienkiewskiego. Trwają wreszcie dyskusje na temat serialu o wciąż kontrowersyjnej osobie — królowej Bonie.

● A jednak, przynajmniej we Francji, telewizja stała się poważnym konkurentem kina. W roku ub. wyświetliła ona 349 filmów (na trzech kanałach). Liczba widzów w kinach w ciągu 20 lat spadła z 410 do 130 milionów. Na festiwalu w Cannes francuski minister Kultury Michel d'Ornano przyznał, że kinematografia tego kraju „nie miała się dobrze” i że nastąpił „kryzys twórczy i tematyczny”. W dyskusji telewizyjnej widzowie zarzucili producentom i dystrybutorom

preferowanie filmów brutalnych, wywołujących najniższe instynkty, wskutek czego przestają chodzić do kina.

LITERATURA

● Bardzo potrzebna pozycja ukazała się nakładem „Czytelni-ka”. Jest to dzieło zorientowane „Bibliografia literatury tłumaczonej na język polski 1945-1976”. I aż się wierzyc nie chce: rejestr obejmuje 947 pozycji. Najliczniej reprezentowana jest literatura francuska — 1639 tytułów, następnie angielska — 1384 tytuły, amerykańska — 996, niemiecka (bez NRD) — 644. Literatura japońska obejmuje 29 pozycji, a krajów Ameryki Łacińskiej 140. Tłumaczono zarówno klasyków jak i pisarzy współczesnych. Następny tom, który ukazuje się wkrótce, obejmie przykłady z literatury krajów socjalistycznych.

● To się już dzisiaj nie zdarza, ale warto przypomnieć. Jeden z najbardziej dziś popularnych pisarzy iberoamerykańskich, Kolumbijski Gabriel Garcia Marquez, wyjawiał ostatnio, że gdy napisał swoją pierwszą powieść („Sto lat samotności”), wysyłał ją wydawcy ratami, gdyż nie miał pieniędzy na jednorazowe opłacenie przesyłki. Nakład w wysokości 3 tys. egzemplarzy rozszedł się w ciągu trzech dni, a do dzisiaj wynosi 3 miliony, nie licząc przekładów na 21 języków. To się nazywa trudny, ale wspinały start.

OPINIE

● „Na pewno nie mogą się nazwać patriotami, jeżeli idą na czyn społeczny zbrojąc, że zabiera mi tyle czasu, jeżeli produkują buble, szkodzą innym ludziom, nie interesują się i nie pomagają w społecznych i gospodarczych przemianach wsi, miasta, osiedla. Pełny, prawdziwy patriotyzm — to działanie połączone nie z przekonaniem, że tak tylko mnie będzie lepiej i wygodniej, lecz ze świadomością, że w ten sposób działam na rzecz jasniejszej przyszłości całej Ojczyzny”. (Tadeusz Gołota — „Tydzień” nr 34).

● „Socjalistyczna teoria rozwoju społecznego wychodzi z założenia, że problem ewolucji i doskonalenia porządku prawnego i ustroju politycznego w danym państwie nie można oczywiście rozpatrywać w oderwaniu od zagadnienia ogólnego cywilizacyjnego i kulturalnego ludzkości i — na tym tle — dorobku w zakresie koncepcji prawnopolitycznych, pojęć i instytucji praw i wolności obywateli itd. Konieczny rozwój wymiany międzynarodowej prowadzi i musi prowadzić do umiędzynarodowienia procesu rozwoju społecznego, co jednak nie oznacza możliwości stosowania jednakowych schematów prawnoustrojowych, kształtu praw i obowiązków obywateli, struktury życia partyjnego w różnych państwach, a tym mniej w różnych formacjach społeczno-ekonomicznych”. (Henryk Rot — „Wiadomości” nr 33).

● „Produkowane u nas w kraju metodą niemal chałupniczą spirale wewnątrzmaciczne nie spełniają tych warunków. Pakowane są w plastikowe, zwykłe torebki po 10 sztuk, a więc — po rozpakowaniu — narażone na infekcję. Lekarz przed zabiegiem musi je sam sterylizować w specjalnym płynie, co też z konieczności jest metodą dosyć prymitywną. Tego typu eksperymenty, dokonywane na organizmie kobiet, przyszłych matek, są

chyba zbyt ryzykowne, aby się można było z nimi pogodzić i je tolerować”. (Dobry lub Złoty — „Kobieta i Życie” nr 24).

TEATR

● Kto chce zobaczyć spektakle głosem „Teatru Pantomimy” z Wrocławia, niech szybko jedzie do Warszawy, albo w lipcu uda się na urlop w okolicę Gdańska. Zespół niedawno przez miesiąc przebywał — po raz pierwszy — w Meksyku i Wenezueli. Na wszystkich przedstawieniach były nadkomplety, ponadto H. Tomaszewski przez tydzień prowadził w Caracas seminarium poświęcone praktyce i teorii nowoczesnej pantomimy.

● Prawie od 45 lat działa pod patronatem rady zakładowej huty „Kościuszkowski” teatr amatorski „Reduta”. Jak twierdzą znawcy, powodzenie jego — np. 155 przedstawień „Klubu kawalerów” Bałuckiego przy stałych nadkompletach — polega na tym, iż amatorzy wyrobili sobie własny styl, nie nasilając aktorów zawodowych. Zespołem kieruje emerytowany nauczyciel Zenon Michalak, członek zespołu od pierwszego przedstawienia.

● Przypomnijmy, że piękna impreza — Teatr Narodów — miała być zlikwidowana, reaktywowano ją jednak przed urzędami w Warszawie, postanawiając zarazem organizować ją co roku w innym kraju. Tegoroczny sezon zaczął się znów w Paryżu, chociaż nie zapewniono mu tam najlepszych warunków, gdyż przedstawienia odbywały się w dawniej poczekalni dworcowej. Wystąpią teatry z 12 krajów, w tym z Polski i Związku Radzieckiego.

DYWAGACJE

● „Nachodzi człowieka czasem taka chwila, kiedy chce się powadzić o przyszłowie duperela w przecuciu, że walącym na łeb

sprzem powalnym chwila nie da rady”. (Hajny — „Prawa i życie”).

● „Można na przykład przykleić eksperymentalnie ogon świni do ściany i codziennie otwierać koryta o 18 cm. Tym sposobem można wyhodować albo świnię z bardzo długim ogonem, albo — co byłoby ciekawiejsze — świnię długą jak jamańczyk na jakiejś 4 metry... a może nawet dłuższą. Sam jestem ciekawy, czy byłoby tak, czy tak, więc jak ktoś przeprowadzi taki eksperyment, to proszę dać znać. (Franciszek Gont — „Kierunki”).

● „Permanenne maczenie tyłu może przynieść w ogóle rozwiązanie ośców małżeńskich i w ten oto prosty sposób stajemy się ludźmi uwolnionymi od jakiejś tam baby, która coraz częściej kojarzy się nam z dotychczasowym” (Błażowicz Krysta — „Id”).

● „Kiedy bogowie trzęsli światem i prostem (...) wszystkim było dość proste (...) Myślę, że (...) mimo steku frazów — współczesny teatr, ten, jaki znamy — mało obchodzi jego własną publiczność. Jest od niej niezależny materialnie, jest wolny od trosk niepowodzenia i potworny radości sukcesu. Teatr staje się coraz bardziej maksymalną, działającą tylko dla siebie”. (Andrzej Hausbrandt — „Kultura i Ty”).

● „Dlaś z myślą o wieczności jest nie do zniesienia”. (Pisarz argentyński Jorge Luis Borges).

● „Ulubione role to te, które dopiero będą grał”. (Aktor radziecki Władysław Strzemiński).

● „Jest absurdem dyskutować o finale z reżyserem, który jeszcze nigdy nie postawił słowa „koniec” w żadnym ze swoich filmów. Nigdy nie puszczę „koniec”, bo moje filmy rozwijają się w naturalnym nurcie życia, a ten nigdy nie ma końca”. (Reżyser włoski Francesco Rosi).

akran i widz

Pochwała Forum

MIESIĄC później niż zazwyczaj, 6 czerwca, rozpoczęło się w Lublinie coroczne Międzynarodowe Forum Filmowe „Człowiek—Praca—Twórczość”. Została wprawdzie złamana dotychczasowa zasada otwierania tej imprezy w dniu Święta Pracy, ale za to piękna, czerwona pogoda przysłała Forum szczególnego, festiwalowo-wakacyjnego uroku. Było to czwarte już z kolei Forum i zarazem najlepsze z dotychczasowych, także pod względem organizacji. Patronowało mu m.in. 11 w. e. l. kich zakładów przemysłowych Lu cyszczyny z Fabryką Samochodów Cieżarowych, Wytwórnią Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku oraz Lubelskim Zagłębiem Węglowym w budowie — na czele.

To wejście lubelskich górników do miejscowego życia kulturalnego zostało jeszcze jakby podkreślone doskonałym filmem krótkometrażowym Andrzeja Piekutowskiego „Lucjana Styśa wzięciem wzięciem”, otwierającym pokazy filmowe. Socjologiczny „dokument”, którego bohaterem jest rolnik z okolic Łęcznej zdobywający zawód górnika, jeden z tych ludzi, którzy drążą pierwszy sztyb w Bogdanie, ukazuje w sposób szczerzy i bezpretensjonalny przemiany zachodzące w społeczeństwie osiadłym z dziada pradziada na terenach przyszłego zagłębia węglowego. Doskonała praca kamery, wysmakowany kolor, umiędzynarodowienie ukazania atmosfery pracy na wielkiej budowie nadają filmowi Piekutowskiego prawdziwie artystyczny wymiar. Nic dziwnego, że „Lucjana Styśa wzięciem wzięciem” zostało nagrodzone srebrnym medalem.

Tutaj trzeba przypomnieć, że zasada

lubelskiego Forum jest przyznawanie nagród nie na podstawie werdyktu jury, ale w oparciu o plebiscyt przeprowadzony wśród szerokiej publiczności. W ten sposób impreza filmowa staje się zarazem sondazem postaw życiowych, poglądów, zainteresowań i gustów widzów rekrutujących się w przeważającej mierze ze środowisk młodzieżowych i robotniczych. Wszak Międzynarodowe Forum Filmowe nie ogranicza się jedynie do trzech dni lubelskich imprez. Już wcześniej w licznych zakładach pracy, w domach kultury Lubelszczyzny odbywają się pokazy filmów, biorących następnie udział w imprezie „centralnej”, są organizowane seminaria filmowe, dyskusje i spotkania z twórcami, towarzyszą im przeglądy filmów poświęconych pracy. W myśl głównego hasła Forum, którego ideą jest „humanistyczne pojęcie twórczej aktywności ludzkiej służącej przekształcaniu rzeczywistości”. Również w Lublinie, w dniach Forum, wielki naelski położony jest na „forum dyskusyjne”; w tym roku podstawą do dyskusji był przede wszystkim referat prof. Janusza Kuczyńskiego z Uniwersytetu Warszawskiego — „Wspólnota twórczości, jej odbioru i pracy, sens życia”.

Powstała przed czterema laty z inicjatywy Związku Młodzieży Socjalistycznej, Wydziału Kultury i Sztuki UW w Lublinie i Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku impreza, ciesząca się od samego początku wielkim zainteresowaniem, ale też przeżywająca w ubiegłych latach nielatte momenty, w tym roku nabrała wyjątkowego rozędu. Przede wszystkim doskonali był pomysł zlokalizowania głównych imprez Forum w gmachu Lubelskiego Domu Kultury, którego centralne położenie w mieście zlikwidowało dotychczasową bieżnię między salami kinowymi, hotelami i restauracjami. Poza tym liczne i przestronne, świeżo odnowione i ze smakiem umeblowane pomieszczenia LDK przyszywały atrakcyjności całej imprezie. Światnie też działała służba porządkowa, rekrutująca się głównie z członków organizacji młodzieżowych i ze zmobilizowanych do współpracy pracowników lubelskich placówek kulturalnych. Czulo się atmosferę ogólnej życzliwości i uprzejmości ze strony organizatorów, a to właśnie ma bardzo ważne znaczenie w tego rodzaju imprezach.

Z przyjemnością muszę odnotować, że podczas dotychczasowych Forum prawie

zawsze filmy polskie wychodziły zwycięsko w rywalizacji z dziełami twórców z Bułgarii, Czechosłowacji, Niemiec, Republiki Demokratycznej, Rumunii, Węgier i Związku Radzieckiego. W plebiscycie z 1974 r. za najlepszy film Forum uznano: „Pójdźcieś ponad sędem” w reżyserii W. Podgórskiego, w II MFF zwyciężyła „Ziemia obiecana” Andrzeja Wajdy, a dziennikarze przyznali swoją nagrodę radzieckiej „Premii” S. Mikaeliana, natomiast w ubiegłym roku na najlepszy uznano film radziecki „Na krańcu świata” w reżyserii R. Nachapietowa, akredytowani dziennikarze przyznali swoją nagrodę polskiej „Rodzinie” K. Wojciechowskiego.

W tym roku znowu triumfowali Polacy. Grand Prix przyznano filmowi Bohdana Poreby „Gdzie woda czysta i trawa zielona”, pierwszą nagrodę otrzymał film radziecki „Własne zdanie” w reżyserii Jurija Karasika a drugą — film rumuński „Czerwone jabłko” zrealizowany przez Aleksandra Tassoa. Akredytowani dziennikarze przyznali nagrodę Jurijowi Karasikowi.

W czasie Forum poza 7 filmami fabularnymi z różnych krajów prezentowano również 18 polskich filmów krótkometrażowych i tutaj Grand Prix otrzymał film Witolda Zulkowskiego „W garncańskim rodzine”, srebrny medal przyznano „Lucjana Styśa wzięciem wzięciem” Andrzeja Piekutowskiego, a brązowy — animowanemu filmowi „Awantura w Przechwałkowie” zrealizowanemu przez Halinę Fiekę.

Sukces Bohdana Poreby jest oczywisty tym bardziej, jeśli się weźmie pod uwagę oddźwięk społeczny jaki znajduje ten film wśród szerokiej rzeszy polskich widzów. O walorach artystycznych, publicystycznych i o atmosferze zaangażowanych dyskusji, jakie wzbudza „Gdzie woda czysta i trawa zielona”, pisałem niedawno w niniejszej rybryce Radziecki film „Własne zdanie” to również dzieło, które można by określić mianem publicystycznego. To również film gorąco zaangażowany w aktualne problemy kraju. Choć za zainteresowania Karasika biegał tutaj na nieco innej płaszczyźnie niż u Poreby w jego ostatnim filmie. „Własne zdanie” to opowieść o dwójce młodych moskiewskich naukowców, psychologa Piotrowie i socjologa Burewej, oddelegowanych do wielkiego zakładu produkcyjnego na prowincji, którzy mają tam zbadać przy-

czyny trudności wykonywania pianow oraz problem nadmiernej fluktuacji zarog. Film stawia szereg pytań na temat rozumienia roli jednostki we współczesnym społeczeństwie socjalistycznym, walczącej z wieloma przestarzałymi poglądami — że wspomnę tylko ów kapitalny dyskurs między psychologiem a starym majstrem na temat długich włosów — oraz przypomina, że największym dobrem powinien być sam człowiek. Bardzo mocno stroną filmu jest doskonały dialog — we „Własnym zdaniu” położono szczególny nacisk na warstwę słowną filmu — i w tym założeniu przypomina on trochę słynną „Premię”. Jest to w dodatku film potrafiący połączyć ton poważnego zaangażowania z finezją stylu przekazu oraz poczuciem humoru i warto by jak najszybciej wprowadzić go powszechnie na nasze ekrany.

Chciałbym na zakończenie wspomnieć o filmie, który wprawdzie nie uzyskał żadnej nagrody, natomiast na mnie osobiscie wywarł duże wrażenie. To krótkometrażowe „Lato w Zabnie” Kazimierza Karasika, ukazujące życie w małej wiosce pod Turbinem, wiosce już nietypowej bo dość tradycyjnie gospodarującej i jakby „zastygłej” w czasie. Karasik wyrecytował się niejako w swej pracy studentką i roku SGGW w Warszawie, Marią Kolano, pochodzącą z Zaopna. Wyjeżdżając do rodzinnej wsi na swoje pierwsze studenckie wakacje, Maria Kolano zabiera aparat fotograficzny. Miała za zadanie fotografować wszystko, co jej zdaniem jest ciekawe i charakterystyczne dla Zaopna, dla codziennego życia wioski i jej mieszkańców. Powstał jakby „album rodzinny” przedstawiający sceny z najbliższego otoczenia autorki, która komentuje z za ekranu swoje prace. Udało się autorom uchwycić w sposób wręcz kapitalny klimat życia w małej wiosce, jednej z tych miejscowości, które coraz bardziej już odchodzą w przeszłość i dlatego oprócz swoich wartości artystycznych i socjologicznego zacięgu ma film Karasika walor autentycznego i cennego dokumentu.

Filmy Piekutowskiego i Karasika miały jeszcze dodatkowe wydźwięk: pokazywały Lubelszczyznę dawną i tą, jaka się właśnie rodzi. A samo Forum było przykładem właściwego realizowania akcji mającej na celu sojusż świata pracy z kulturą i sztuką.

md

noty i notki

Pa kilkunastomiesięcznym milczeniu Urząd Miejski Lublina odpowiedział wreszcie na serię interpelacji „Kuriera Lubelskiego” w sprawie zabezpieczenia skrzyżowania trasy W-Z z ul. Dołną 3 Maja. Jest to prawdziwie skrzyżowanie śmierci, na którym w praktyce śmierć wydarzyła się więcej wypadków śmiertelnych i ciężkich obrażeń, niż na słynnym swego czasu zakręcie śmierci w Sztarskiej Porębie. W odpowiedzi do „Kuriera” jeden z wiceprezydentów oświadczył, iż żadnych dodatkowych zabezpieczeń (w gruncie rzeczy chodzi o światła sygnalizacyjne) nie będzie, bo zlecono już opracowanie założeń na dwupiętrowe skrzyżowanie. Chciałbym tu do-

dać, że z lat temu opisaniem okoliczności w „Standardzie Ludu”, dotyczącą do tego ry-sunek, projekt wybudowania tam estakady, który — gdyby istniał — zapobiegłaby dzisiaj wypadkom. Ie lat poczekamy na realizację obecnego „zlecenia opracowania”?

Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny Lublin 13 przy ul. Narutowicza 69a. Na wprost wejścia szklane drzwi, a na nich duży napis: PACZKI, LISTY. Przede mną kilka osób, stoję więc cierpliwie i gdy wreszcie zresztą panią, dowiaduję się, że listy polecone nadaje się nie tu, ale w drugiej sali, na lewo od wejścia, gdzie na drzwiach znajduje się napis: KASA, TELEFON. Pani kierowniczką poinformowała mnie grzeźnie, że napisy zostaną umieszczone prawidłowo, gdy nadadzie czas remontu poczty. No cóż — można i tak zabierać czas klientom.

Wjeżdżam do Opola Lub. i wydaje mi się, że coś się dwoi w moich oczach. Z lewej strony jezdnii drogowcaś informuje, że do Opola jest jeszcze 1 km, z prawej strony inny drogowcaś, że to już jest Opole. I do dzisiaj nie wiem, gdzie się to miasto zaczyna lub kończy.

Jan Warpechowski pojechał do Moskwy na konkurs artystów estrady i tak się zachwyli prezentowaną tam sztuką cyrkową („Kultura i Ty” nr 5), iż mu się nieco pomieszały pewne pojęcia. Pisze mianowicie, że menadżerowie australijscy chcieli

natychmiast sprowadzić do siebie, czyli „na antypody”, cały program. Otóż „antypody” wymyślił starożytny Grek na określenie obszarów, na których ludzie w stosunku do nas „chodzą na głowie”. Dział antypody to obszary leżące przeciwstawnie na różnych półkuliach — ale identycznych równoleżnikach lub na różnych o 180 stopni południach. W stosunku do Moskwy antypodami można nazwać sam „koniec” Alaski i Ocean Spokojny w pobliżu kół podbiegunowego, w stosunku do Warszawy jakas wyspę na Morzu Beringa i 5 tys. km na zachód od Patagonii. Kto tam ma ogadać owe występy?

Co pewien czas wybuchają gorące dyskusje na temat stosunków, panujących w warszawskim Teatrze Wielkim. Kiedyś zabrała na ten temat głos Barbara Błuszczyńska, potem Witold Rowicki — i oboje musieli odejść z tego przybytku sztuki (pozywania się niewygodnych). Teraz w nr 24 „Prawa i Życie” Bernard Ładysz pisze: „Jedynym efektem krytyki prasowej jest usunięcie z pracy w Teatrze Wielkim mojej żony (...) oraz zapowiedź zwolnienia z zajmowanego stanowiska reżysera Józefa Grubowskiego. Dla przypomnienia dodam, że tylko J. Grubowski i ja ośmieliłmy się opublikować owe uwagi krytyczne pod własnymi nazwiskami”. A tak rzadko grają tam „Straszny dwór”.

Co jednych ludzi nie bulwersuje, a dla innych nie jest bagatelą? Na str. 1 „Fak-

tów 77” (nr 24) Marian Krusko pisze: „W roku 1973 straty zakładów produkcyjnych osiągnęły wartość 34 mld zł. Statystycznie nie jest to wielkość bulwersująca”. Naudniał na str. 5 tego samego numeru Lucjan Złocz oburza się: „Różnica 15 ton to nie bagatel”. Gdyby np. w owoch tonach chodzilo o ziarno, to jego wartość według Jędzto bilera wyniosłaby 15 mld zł, a 34 mld to równowartość 34 ton złota. Ktożego z Porlaków nie zbulwersuje 19 lub 34 ton złota? Sądcę, że wyjątkiem nie byłby nawet minister finansów.

Lucjan Włodkowski przypomniał w „Odgłosach” (nr 24), że „personelowy skie-pów nie wolno samo wolnie wywieźć żadnych kartek, zawiadamiających o zamknięciu sklepu, gdyż w każdym przypadku musi być na to zgoda odpowiedzialnego Wydziału Urzędu (miasta, gminy), wyrażona pieczęcią przybłą na wywieźcie. Wszelkie inne wywiezienia są bezprawne, samowolne i jako takie podlegają orzecznictwu kolegium administracyjno-karnego”. A to bezprawie jest przecież powszechne, ale kto ślony skargę do kolegium? Niech będą pierwszy na drzwiach sklepu spoczywającym w starym pawilonie przy ul. Różi Luksemburg wst od trzech tygodni kartka z nabazgranym napisem i bez pieczęci — „Remont”. W dodatku jest to kłamliwe, bo wewnątrz nie się nie dzieje.

JOD

POCZTA LITERACKA

S. B. Lublin. Nie mogę Panu zaproponować postawy. Tęgo się nie wybiera. Nie mniej jednak ten nastrój przygnębienia, opuszczenie rąk nie wychodzi na dobre Pana wierze. Są nie tylko momenty, ale również niaki. Ma się wrażenie, że Panu chodzi tylko o to, żeby się poskarżyć kartce papieru. Twórczość jest również autokreacja. Mówi edryś Valety: „Artysta jest ten, komu trudność związana z jego własnym rzemiosłem podsuwa idee”. To nie strywalizowanie twórczości. To nadzieja na pomoc, jakiej udzieli twórcy zmagając się z oporem materiału.

R. P. Konin. Przeglądałem pańskie warsze. Tak, przeglądałem, chociaż nie pominąłem w lekturze niczego. Ale nie mogę powiedzieć, że przeczytałem. Nie przeczytałem, ponieważ one są tylko — tak by powiedzieć — półnapisane. Napisałem mimochodem. Gdyby Panu samemu zależało na skutecznym dostarczeniu do czytelnika, dalaoby się to odzwać w tekstach. Ich „pracochłonność” jest niewielka. Nie zarzykował Pan. Postawiają okłady słów do przyjęcia. Ale nie do przeczytania.

R. S. Gdańsk. Jak można wykaże słabe miejsca w utworach? Obwieść je czerwona kreską? I w oszpeć zadanie takiej diagnozy jest chęcią przetrzeźwienia odpowiedzialności na redaktora, czy krytyka. Już wolę autorów, którzy ciskają gromy na całą redakcję, na całą literacką prasę, kiedy ich wiersz jest odrzucony. To postawa, z którą można nawiązać kontakt dyskusyjny. A cóż znaczy to „proszę o receptę, a według niej sporządź tekst”? Gdybym miał taką, sprezentowałbym ją przede wszystkim mojemu przyjacielowi, który również na próżno się mozoli. Już widzę pańska minę jako „potraktowanego odmownie”. Proszę Pana, ta rubryczka nie służy ani do wystawiania cenzury, ani do udzielania zbawiennych rad. Jest czymś w rodzaju stolika, przy którym możemy sobie posadać na temat wierszy i nie tylko wierszy. Jeśli w trakcie rozmowy padnie słówko, które pomoże ostrzej spojrzeć na napisany tekst, przyda się do tego, by lepiej pomyśleć jeszcze nie napisany — zadanie zostało spełnione. To zresztą wcale nie mało.

T. S. Lublin. Niestety, te niedomówienia wcale nie są niedomówieniami. Są rzeczywistym brakiem treści. Nie wyszedł Panu ten „hemingwayizm”. Chciał Pan rozróżnić opowiadania na kanwie zewnętrznych wydarzeń, pozostawiając w domyśle całą tak zwaną psychologię, ale rzecz się nie udało. Została powściągnięta o perypetiach, jakie młodemu człowiekowi zdarzają się na furi. Nawet fotografować to nie znaczy pstrykać. Autor może udawać, że od siebie nie nic nie mówi, że cała prawda do wycisnienia pozostawia czytelnikowi. Ale tylko udawać. Jeżeli nie mówi naprawdę, czytelnik go nie uratuje.

A. F. Biła Podlaska. Te wiersze — nie powiem — ulnują swoją świeżością, ale jest to świeżość wynika z naiwności. Zachodzi obawa, że kiedy z niej Pan wyrośnie, wejdzie w naśladownictwo pierwszego lepszemu wzorowi uważając to za oryginalność. Teraz tego niebezpieczeństwa nie ma, chroni przed nim — nie ukrywajmy — brak oczytania. Czytawo wynikał stad wniosek — nie czytać! Tęgo nie powiedziałem. Ale jeśli Pan chce temu zacięciu poświęcić się dłużej, wróćka powie Panu, że na tej drodze dużo jeszcze Pana czeka.

C. W. Lublin. Mam wrażenie, że ulega Pan autostegstii. Ze nieładnym w gronie rzeczy własnym spostrzeżeniem przyznaje Pan rangę odkrycia. W ten sposób ośrodek wiersza staje się coś, co powinno być zeń wyeliminowane, ale Pan zafascynowany odwołaniem uparcie obstaje przy swoim. Oczywiście, każdy banal da się wyinterpretować na sformułowanie interesujące, w czym pomoże jest przekonanie, że „takie jest życie”, ale to będzie zaleta komentatora, a nie tekstu. Potrzeba więcej krytycyzmu. To tylko brak doświadczenia pozwala pasjonować się trzmiadami, które pojawiwszy się sprawiły awemu autorowi miłą niespodziankę.

Z. D. Janów. Określiłbym to jako poezję sztambuchową. Nie wkładam w to pejoratywnego znaczenia. Uznaje potrzebę nastroju, sentymentu, widzę w tym nastawienie poetki, przekonywające szczerością. Jednakże nie da się pominąć wymagań jakie stawia czas. Pisząc trzeba zająć stanowisko wobec własnej współczesności, nie można bezceremonialnie błądzić po epokach. Choćby te wiersze znalazły wierszy czytelników w gronie Pana przyjaciół, nawet w szerszym gronie ludzi myślących i odczuwających w ten sposób, nie mogą liczyć na druk dział. Tradycja — tak, ale w tym sensie, że znajduje się do niej współczesne odniesienie. Sama powtórka nie wystarczy.

K. L. Lublin. Napisał Pan opowiadanie językiem rozprawy seminaryjnej. Wier niezależnie od tego, że sytuacje mogą być zastanawiające, niezależnie od tego, że jakiś filozoficzny aspekt da się z tego wyprowadzić, rzecz nie osiąga skutku ze względu na język. Chce miżrec pański charakter pisma, nie kalfografie. Język literacki jest tym, do którego sam autor dochodzi. Nie może on być „literacki” w znaczeniu poprawnym, stosowanym powszechnie. W obrębie języka oficjalnego trzeba wykształcić swój język. Pan tego nie próbuje, stud opowiadanie nie posiada wyrazu.

S. D. Warszawa, L. G. Katowice, S. P. Bybnik, A. M. Lublin, E. S. Lublin, W. L. Parzew, R. R. Gdynia, M. S. Głogyn, S. R. Prasnysz, S. A. Jarocin — nie skorzystamy.

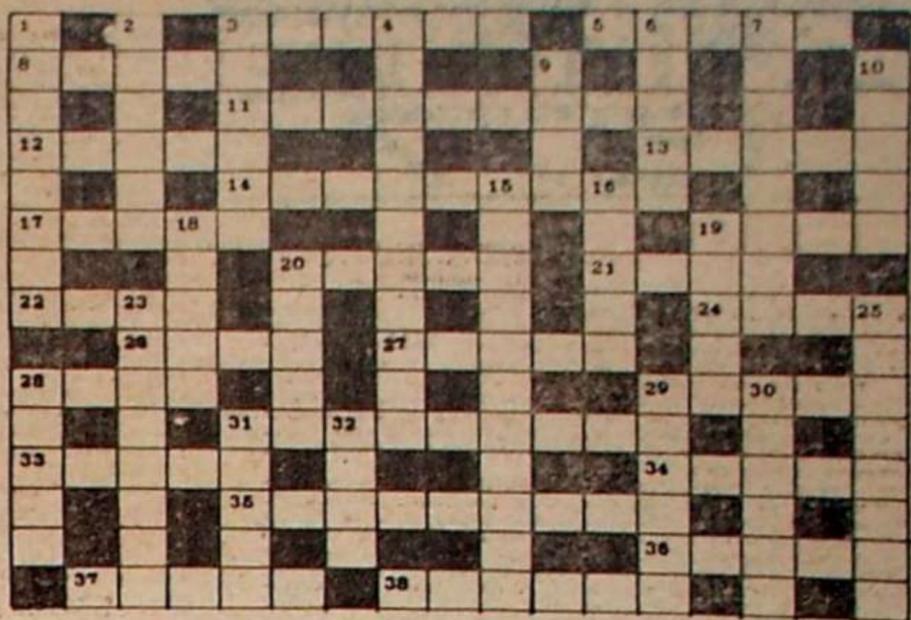
KRZYŻÓWKA

(nr 13)

POZIOMO: 2. osoby towarzyszące, 5. bógini mądrości, 8. zapowiedź, 11. leśna droga lub miejscowość wczasowa u podnóża Karpatów, 12. ma w czerwcu swe Dni, 13. mały statek, 14. rywal, współzawodnik, 17. klasa jachtu, 18. koń morski, 19. prymitywne narzędzie żniwne, 21. zastępuje most, 22. góry w Ameryce, 24. tekst przysięgi, 26. otwór w ścianie, 27. klub sportowy z Mediolanu, 28. skroplona mgła, 29. opera Moniuszki, 31. autonomiczna republika radziecka ze stolicą Ufa, 32. znamienitość, chwala, 34. środek łączności, 35. kwiatostan rośliny z rodziny złożonych, 36. tytułowy bohater noweli Prusa, 37. przepływa przez pięć niast wojewódzkich, 38. czarownik ludów pierwotnych.

PIONOWO: 1. wydział akademii medycznych, 2. wybitny angielski pisarz — marynista polskiego pochodzenia, 3. punkt widzenia, 4. znany polski pisarz, autor najpopularniejszych powieści historycznych, 6. szeroka droga, 7. powieść 2 pionowo, 9. najlepszy piłkarz wszechczasów, 10. winowajca wojny trojańskiej, 13. powrót obywateli jakiegoś kraju do ojczyzny, 16. wywar, 18. nauka o moralności, 19. pokarm jedwabnika, 20. podła pogoda, 22. dostarczyciel, 25. kobieta na koniu, 28. do pieczenia bez tłuszczu, 29. płot drewniany, 30. słynna Ordoń, 31. słynny pianista i pedagog polski, 32. owoce na zimowy kompot.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skrz. pocz. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 11
POZIOMO: Krzywoszewski, korfu, satyr, segment, Ekwador, arkan, Ptaki, Habelais, akapit, bramka, Kostka, turkus, rolmopsy, terma, ikacz, Hanower, trofeum, Atena, orzeł, Massachusetts.

bo, ostronos, komputer, kształt, strach, aneks, naos, Waza.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 11 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Teresa Cieslik 29-943 Lublin, Al. Raclawickie 3811, Stefan Janiec 26-285 Lublin, Skibińska 2612, Stanisław Kowalczyk, 26-416 Lublin, Łazienkowska 144, Stefania Krzewska, 02-661 Warszawa, Raclawicka 427.

Chel'm przypomina Zalewskiego

Dokończenie ze str. 4-5

talogu napisał Konrad Winkler, wybitny krytyk tamtego okresu. Oto krótki fragment owego tekstu.

... I sztuka Zalewskiego nie pochodzi bynajmniej z naśladownictwa lub snobizmu — lecz z najgłębszych warstw duchowych tego artysty, z jego instynktu plastycznego, z jego radosnego zamiłowania do konstrukcji, do formy uproszczonej, do barwy zdematerializowanej, podniesionej do najwyższej skali i siły emocjonalnej... Zalewski tworzy głównie pejzaże i martwe natury, rzadziej portrety... Zwłaszcza jego martwe natury, gdzie przedmiot ukazuje się nam jako zdeformowana aluzja do realnej rzeczywistości — posiadają przedziwną moc przekonującą...

Jakim wydarzeniem musiała być ta wystawa w środowisku warszawskim, jeśli recenzowali ją: Tytus Czyżewski (w „Kurierze Polskim”), Nela Samotyłowa (w „Kobiecej Współczesnej”), Mieczysław Sterling (w „Wiadomościach Literackich”), Mieczysław Wallis (w „Robotniku”), a także Wacław Husarski na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”!

Więc sukces. Ale niedługo potem Zalewski odchodzi od dotychczasowej twórczości i zaczyna malować w duchu postimpresjonizmu; jak niektórzy byli formiści czy członkowie „Błoku”, jak wielu innych artystów, którzy nie zdołali oprzeć się inwazji powracających właśnie z Paryża kapistów. Ponad dwadzieścia lat uprawiał tego rodzaju malarstwo, więc rychło zapomniano o innym Zalewskim; autorze „Martwej natury” z 1927 roku. Na domiar złego większość jego prac z przełomu lat

dwudziestych i trzydziestych uległa zniszczeniu podczas wojny.

O tym Zalewskim przypomniano sobie dopiero z okazji wystawy pośmiertnej artysty, urządzonej w lipcu 1959 roku w „Zachęcie” i zaopatrzonej w katalog z wstępem Ewy Garztecckiej, która oddała sprawiedliwość zapomnianemu twórcy, stwierdzając m.in.: Stanisław Zalewski należy do pionierów polskiej sztuki współczesnej i zdobył trwałe miejsce w plastyce polskiej.

Trwałe miejsce... Ale dostrzegane przez nielicznych krytyków i historyków sztuki! Takich, jak Ignacy Witz, który z recenzji z tej wystawy domagał się przynajmniej umieszczenia dzieł Zalewskiego w muzeach, zresztą skutecznie. Także Tadeusz Chrzanoski w „Tygodniku Powszechnym” (nr 24 z 1960 roku) omawiając ekspozycję pośmiertną, którą przeniesiono z Warszawy do Krakowa, zauważał, że świetny artysta jest to pewnym sensie zapomniany gdyż o ile w ogóle mówi się o formizmie, to najczęściej pomija jego nazwisko.

Przed Krakowem wystawa pośmiertna Zalewskiego odwiedziła Lublin w październiku 1959 roku — dzięki zabiegom Wiktora Ziółkowskiego, który zawsze z życzliwością i uwagą obserwował te twórczość. W momencie największych sukcesów grupy „Zamek” pokaz prac Zalewskiego „Zaskakuje świeżością, nowością i... nowoczesnością” — komentował „Kurier Lubelski”. Przypomnijmy jeszcze, że na otwarcie wystawy w salonie ówczesnego CBWA przyjechała pani Helena Zalewska, wdowa po artyście, a na temat jego twórczości w klubie Pracowników Książki, Prasy i Radia mówił Henryk Zwolakiewicz, także absolwent Szkoły

Lubelskiej, który po drugiej wojnie doprowadził do wydania teki litografii Zalewskiego, przedstawiającej motywy z Lublina, gdzie malarz przebywał okresowo po wyzwoleniu, pracując w średniej szkole plastycznej.

No i potem znów zapadła cisza wokół Zalewskiego. Obecnie, po siedemnastu latach od przypomnianych przed chwilą wystaw, Muzeum Okręgowe w Chelmie urządza w swej „Galerii 72” retrospektywny pokaz obrazów, akwarel i rysunków Stanisława Zalewskiego. Ponad półtora roku pracowaliśmy nad doprowadzeniem do skutku tego przedsięwzięcia, spotykając się z życzliwością muzeów Warszawy, Bytomia, Łodzi, Poznania, które wypożyczyły eksponaty. Wiele razy nachodziliśmy panią Helenę Zalewską, która udostępniła na wystawę część zbiorów, służąc przy tym wręcz nieocenioną pomocą natury informacyjnej, za co składam Jej serdeczne podziękowanie. Towarzyszyłem sprawie od początku, więc wiem, ile trudów kosztowało młodych pracowników Muzeum Okręgowego w Chelmie przygotowanie tej wystawy, której inicjatywę przejął od razu, po „pierwszej wzmiance”, ówczesny dyrektor placówki, Ryszard Patkowski, a doprowadzili rzecz do szczęśliwego końca; obecny jej szef Bogdan Łukasiewicz oraz Jadwiga Barczyńska. Wspomnę też, że terminowe ukazanie się liczącego kilkadziesiąt stron katalogu zawdzięczamy Jerzemu Kostce, autorowi opracowania graficznego tego wydawnictwa.

Organizując wystawę Stanisława Zalewskiego mieliśmy nadzieję, że dzieło artysty nie tylko dostarczy satysfakcji publiczności, ale zwróci baczniejszą uwagę historyków zajmujących się genezą sztuki nowoczesnej w Polsce. Ekspozycja nie jest co prawda rozbudowana pod względem ilościowym, ale chyba dobrze ilustruje przemiany twórczości zmarłego 23 września 1958 roku w Warszawie artysty.

Wystawie patronuje redakcja „Kamery”; w minionych latach kilkakrotnie przypominaliśmy postać Stanisława Zalewskiego.

Ireneusz J. Kamiński

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechcyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni, (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasłowski, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuje Oddział RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach: — do 25 listopada na styczeń, I kwartał i półrocze roku następnego i na cały rok następnny. — do dnia 10 listopada poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 7 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiali prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-59 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmował interesantów w poniedziałki i piatki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 8. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN, Unieka 4. Zam. 1519, 10.06.77 r. J-4.

Numer łamali: Mieczysław Psufek i Wiktor Mada, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu 24031

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

- Olaf podaj grabę!

W POWODZI wiadomości jaką przynoszą nam codziennie tak zwane publikatory, parę miesięcy temu można było znaleźć jedną, niemniej sensacyjną niż wieść, iż nad Oceanem Spokojnym zderzyły się dwa pociągi towarowe. Otóż w Szwecji kraja z natury rzeczy raczej chłodnym, temperatura polityczna sięgnęła zerunku, bo oto mruwany - wydawałoby się - kandydat na premiera, dotychczasowy szef rządu Olaf Palme wraz ze swoją partią socjaldemokratyczną przegrali wybory.

Przyczyn tego „letenia bez siedmiu“ upatrywano później, a to w ryzykownym niby programie atomowym, a to w recesji gospodarczej, jak gdyby obie te rzeczy były czymś na Zachodzie nowym, a Palme ich matką i ojcem. W gruncie rzeczy Palme zgubiło coś zupełnie innego, a o czym dopiero dziś wypada pisać, jako że sprawa na tyle już przycichła, iż nawet moja rewelacyjna teoria nie jest w stanie jej wskazać i zamazać znowu w głowach Szwedów, za co obecny rząd zaprzysiężonego przeciw krajowi mógłby żywić do mnie słuszną urazę.

Otóż, jak powszechnie wiadomo, pozory demokracji w Szwecji za rządów Palmego zostały aż tak sfetyzyszywane, że każdy obywatel tego kraju mógł, jeśli miał okazję, zwrócić się do swego premiera per Olaf, bez obawy o nazwanie go źle wychowanym. Rzecz jasna przeciętny Szwed nie miał okazji ku temu zbyt wiele, podstarzałym bowiem zajęciem każdego premiera jest raczej polityka, niż tykanie się z obywatelami. Niemniej teoretyczny przywilej Szwedów był faktem materializującym się czasami, i to - moim zdaniem - w sposób, który zaważył tymczasowo na dalszej karierze tego uzdolnionego przecież przywódcy.

Polskę i Szwecję, mimo różnicy klimatów i paru jeszcze innych rzeczy, łączy ze sobą bardzo wiele, a to choćby fakt współobecności nad Bałtykiem, obustronnego uznania dla naszego węgla i ich Volvo, odporność na ekspansję japońskiego przemysłu czy wręcz regularne kursy promów ze Sztokholmu do Ystad i z powrotem. Można więc z pewnym prawdopodobieństwem wyobrazić sobie z grubszą jak wobec faktu pozornego zrównania wszystkich bez wyjątku obywateli wyglądał statystyczny dzień premiera, do jakich dochodziło sytuacji i jak w końcu miały one skutek.

Biorąc pod uwagę liczbę obywateli, którą praktycznie rządził Palme, można by go porównać do polskiego dyrektora jakiegoś potężnego zjednoczenia przemysłowego bądź szefa branżowego któregoś z resortów. Wyobraźmy więc sobie, że oto rozpoczyna się dzień tego wielkiego menadżera i po odbiciu w hoku biurówka karty zegarowej zasiada on o godzinie siódmej za biurkiem w swoim gabinecie. Do pierwszej narady jeszcze dwie, a do kawy trzy godziny, poczta też będzie o dziesiątej, a wszystkie załatwienie zostały wczoraj podpisane, sekretarka może usze łączyć ewentualnie telefony do szefa. Właśnie dzwoni pierwszy interesant.

- Cześć Hipek - wali prosto z mostu głos w słuchawce - tu Gienek mam do Ciebie taką, a taką sprawę, na pewno załatwisz, tylko stuchaj, żeby nie było to zielone, ale czerwone, bo zielone to już mi proponował Fredek z sąsiedniego resortu.

- Nie mogę, proszę mi usterzyć - tłumaczy się gęsto nasz menadżer, ale Gienek nie rezygnuje.

- Stuchaj no, stary, nie leć ze mną w cymborgaja na male bramki - kontynuuje głos w słuchawce. - W razie czego przetrącimy jak trza ze dwie połowy i będzie Francja - elegancja.

- Niestety, nic nie poradzę - odpowiada już szorstko potrzytowany szef, dodaje - żegnaj - i odkłada słuchawkę.

I co dalej? Ano cóż: jeden wróg naszego szefa więcej, jeden głos w urnie w ostatecznej batalii mniej. Pomnijmy teraz te głosy przez lata, miesiące, dni i telefony, no i żeby było zupełnie uczciwie podzielimy to na połowę, bo przecież nasz szef nie taki znowu straszny, coś tam w końcu może i czasem komuś to i owo załatwi. Mimo wszystko otrzymamy liczbę głosów, bez których nie tylko można przegrać wybory w Szwecji, ale w całej Skandynawii.

Tak więc mechanizm porażki Palmego jest już zupełnie jasny, pora zatem na wnioski. Otóż, jak widać, przemurona Palme, zaskodzona wyłamowana przez niego samego pseudodemokracja, nie mogąc wytrzymać konfrontacji z rzeczywistością. Okazuje się bowiem, że w sytuacji kiedy poszczególnych obywateli różni od siebie nie tylko imiona i nazwiska, ale także stanowisko, potrzeby i możliwości ich zaspokojenia, samo zawołanie: - Olaf, podaj grabę! sprawę nie załatwia. Proponuję więc niektórym naszym bojownikom o wzajemne tykanie sobie powstrzymać ich zapędy i skończyć z doucipami, że pan dyrektor magister Kowalski to jest to samo, co referent Malinowski i skoro obu im na imię Józek to powinni razem urządzić imieniny i mówić sobie per Zisiek.

I choć nie wiem jak Wy, drodzy Czytelnicy, zapatrujecie się na tę sprawę, ale ja osobiście nie chcąc tracić Waszych głosów o przychylności dla niniejszego felietonu proszę będę Was uprzejmie ze wszystkimi należnymi Wam tytułami. Stuga unżony.

HALIFAX



Rys. M. Mula

MINUTA MYŚLENIA

Chodzi o slogan

KIEDYS mówiło się o kulturotwórczym snobizmie. Nietego musiało być z rzeczywistym zainteresowaniem dla kultury, skoro przyjmowano za dobry nawet ten sposób jej krzewienia, nie mniej jednak piętrowe mieszczaństwo. Lepiej to zrobiła pogromczyni Duiskiej, a także znany wiersz Tuwima. (Spopularyzowany cokolwiek ponad swą wartość. Oto prawidło recepcji literatury sprawujące, że utwór na czasie nie musi być najlepszy, by atrwalić się w powszechnym odbiorze.).

Nie wiem ile było prawdy w kulturotwórczym snobizmie. Przypuszczam, że istniał jedynie jako idiom, jeden z elementów przemówieniowej kaligrafii. Ale może i coś było. Tylko jeśli było, to nie wiem, gdzie się podziało, bo dziś się o nim nie mówi. Przepadł nam gdzieś ten snobizm i nie wiadomo: został zdyskwalifikowany jako półśrodek, czy zapanowało przekonanie, że niczym już zainteresowania ani półzainteresowania wartościami kultury spowodować się nie da. Coś mi się widzi, że to drugie. Żegnajcie nieczytane, ale elegancko oprawione i poustawiane książki w domowych bibliotekach, żegnajcie fascynacje znanymi nazwiskami ze świata literackiego, bądźcie zdrowe połówki czarnej sklaniające do rozmowy na temat Oibrychskiego. Nie ma was, pochłonęła was przeszłość. Was same należałoby jakimś półśrodkiem powołać do życia.

Także hobby. Ze kłes zbiera kapsle do butelek, było do niedawna powodem do rozczulenia, bo świadczyło o nieoczekiwanie sympatycznym poszerzeniu osobowości broniącej się przed zgliszczaniem w warunkach automatyzowanego świata. Jakże szacowna osoba był zbieracz. Ile indywidualności przybywało Kowalskiemu, kiedy wyszło na jaw, że nie tylko regularnie spędza osiem godzin dziennie na krześle młodszego referenta, ale również jest amatorem piaków kartoflanych. Co się z tym hobby stało? Czy podzieliło los kulturotwórczego snobizmu?

Nie wiem, czy hobby istnieje dzisiaj. Wiem jedno: że powszechną błyskotką, do której się ręce wyciągają, jak na znanym obrazie Malczewskiego, jest Fiat 126 p. No, jeśli się komu marzy wielkoformatowo, to 125 p. Lecz pies to, czy bies? Hobby, czy zapotrzebowanie na środek lokomocji? Aż na tyle to się wszyscy na raz przenosili nie musimy, więc wynikłoby może, że przynajmniej w tej postaci zaniedbane hobby ożyło. Zamiast albumu ze znaczkami cztery kółka.

Zaznaczam, że nie mam nic przeciw samochodom. Dopóki mnie któryś na zielonych (dla mnie) światłach nie przejedzie. Zastanawiam się tylko, co jest motorem owego życiowego pragnienia. Co wyznacznikiem dzisiejszego gustu. Samo posiadanie, choćby 126 p miał stać na niestrzeżonym parkingu

przykryty pokrowcem przerobionym z poszwy na koldrę? Pewność, że się w każdej chwili można udać z rodziną nad Białe, choć małżonka związana terminami przymiarek u krawcowej czytała możliwość ściśle teoretyczną? Nad przyczynami niech się pogłowi socjolog. Co do mnie wiem, że każdy pan pod czterdziestkę przynajmniej marzy by mieć samochód, jak każda pani pod osiemnaście - głos. Nie koniecznie zresztą głos. Mikrofon. I zachwyconą publiczność.

Bo jak dawniej monety (jedno- i dwugroszówki), znaczki i korzenie drzew z lasu, tak dzisiaj występ przed mikrofonem jest znamięm nobilitacji. Nie spiewasz - nie bierzesz udziału w życiu kulturalnym. Mówiłeś kiedyś, że do Stowarzyszenia Twórców Ludowych startują ludzie udający chłopięce pochodzenie po to, by niedostatek ich talentów natrafił na ułgową taryfę artystyczną. Tak samo nagninnie startuje się dziś na estradę tę o mniejszej widowni po to, by zmniejszone wymagania tym trwale zapewniły przydatność „artysty”. Zdania co do kwalifikacji tego zjawiska są podzielone. Ze strony zwolenników najczęściej pada argument, że lepsze to, niż wystawianie pod budkę z piwem. Ze faszystów, wręcz przeciwnie, chałturzy jest mimo wszystko lepiej, niż trąbić „Trybunalskie”. W ten sposób możemy protegować np. zdradę małżeńską. Ktoś, kto jest nastawiony na intensywne działanie w tej dziedzinie, również nie ma czasu - szczególnie przy dzisiejszych kolejkach - na konsumpcję złościstego piwu.

I w ogóle nie wiem, dlaczego piwo ma być straszakiem. W Belgii, w Czechosłowacji pije się go dwa razy tyle. Co najmniej. My jesteśmy Kocpiuszkami. Obo-

wiązuje nas kultura bycia bez względu w jakim miejscu się znajdujemy i bez względu na to, co przechodzi przez nasz przytyk. Mówimy zatem o wzorach postępowania, o takcie w stosunkach społeczno-towarzyskich, o wymaganiami stawianymi w miejscu publicznym, a nie doprowadzamy do sytuacji, że kłokowiek na skutek upału zażyty sobie szklanki piwa, znajduje się pod pretekstem opinii publicznej. Brak kultury znakomicie można wykazać i bez tej szklanki. Na przykład przy wsiadaniu do zatłoczonego trolejbusu. Ujmując ukladność w sytuacjach obojętnych nader często sąsiaduje z rzeczywistym chamsstwem w sytuacjach konfliktowych. U jednej i u tej samej osoby.

Ponieważ stąd już tylko krok do moralizacji, więc tu przerywam, lecz rog trzymam. Poszukuję jakiegoś na dziś wyznacznika kulturalnego nawyku na podobieństwo tych, które - dodatnie czy mniej - widzieliśmy do niedawna. Proszę mnie nie zakrzykiwać, że teatry amatorackie, że grupy studenckie, że ręcznie malowane afisze. Owszem, ale mnie chodzi o... No tak, o slogan. O slogan, który w przeciwieństwie do swych poprzedników dałaby się napisać sensowną treścią. Chciałbym usłyszeć, w jakim kierunku wypada ambicjować środowisko, dziś by wynikał z tego polityk dla społecznej kultury. Przy czym mamy się na ten sezon skrzyknąć. Odpowiedź od razu, że nie przy kufiu. Po namyśle - że również nie przy „maluchu”.

Chociaż mam nadzieję, że pierwszy nabywca z grona moich znajomych nie odmówi mi inauguracyjnej przejażdżki.

Ijon

BARAN 21 III - 18 IV

Jeden z czytelników urodzonych pod znakiem Barana napisał do mnie, że z dużą satysfakcją pokazuje drukowane w „Kamieniu” horoskopy swoim znajomym, zwłaszcza tym, których szczególnie nie lubi, ale jednocześnie starannie zataja datę własnych narodzin. Można i tak! Rzeczywiście moje horoskopy nie zawsze są najweselejsze. Ale czy nie lepiej cieszyć się, że życie okazało się mniej brutalne niż martwić, iż nie wszystko ułożyło się tak wspólnie, jak to mogłoby wynikać z niektórych superoptymistycznych horoskopów? A swoją drogą już niedługo „Kamień” skończy z horoskopami, bowiem na jesień - jak mnie poinformowano - co mogę w sekrecie wyznać moim czytelnikom - szuka się na ostatniej stronie niespodziankę, która powinna wszystkich ucieszyć. To była dygresja, co zaś do horoskopu na najbliższy okres dla osób spod tego znaku... Gwiazdy wróżą wyjazd, ale ten wyjazd będzie szczególnie rodzą i później będzie go można przez wiele lat wspominać. Kto wie, może krot się związek małżeński? Byłoby tylko nie z Wodnikami!

HOROSKOPY

BYK 19 IV - 20 V

Z racji urodzenia powinieneś mieć rogi, toteż nie smartwi Cię wiadomość, że ktoś ci kolejne rogi usiłuje przyprowadzić. Rozejrzyj się wokół siebie; najserdeczniej przyjaciele w pewnych określonych momentach zapominają, że są tymi przyjaciółmi!

BLIŹNIĘTA 21 V - 20 VI

Wbrew moim pesymistycznym prognozom większość spraw ułożyła Ci się nad wyraz pomyślnie. Ciesz się więc z tego, nie wybrzydzaj i nie płacz, że jesteś niedoceniany. W domu masz jednak wykarzać większe zainteresowanie sprawami, które uważasz za przyjemne. Druga strona jest zbyt przeproszana.

RAK 21 VI - 22 VII

Pomyliłam się. Odejdźcie i jednak będącie siebie żalować. Ale jeśli zdecydowaliście się, nie ma już potrzeby zmieniania zdania. Sprawy rodzinne układają się pomyślnie. W dużej mierze to twoja zasługa; mniej pijesz i nie ma powodów do kłótni. Staraj się w nowym miejscu pracy szturmem zdobyć sobie dobrą opinię.

Wydaje się, że w rodzinie układają się pomyślnie. W dużej mierze to twoja zasługa; mniej pijesz i nie ma powodów do kłótni. Staraj się w nowym miejscu pracy szturmem zdobyć sobie dobrą opinię.

LEW 23 VII - 22 VIII

Raki trochę pofolgowały, ale Lewy znowu ciągną do wodopoju. Czy nawet upalne dni nie stanowią przeszkody? Rozumiem - towarzysz, ale twoja głowa już nie ta! Pijcie równo, wszyscy rozmownie i weseli, a ty zaczniesz bełkotać. Więcej szacunku dla samego siebie!

PANNA 23 VIII - 22 IX

Nerwy ciągle dają znać o sobie. Szukasz dziury w całym, sam sobie stwarzasz problemy. Można i tak, ale właściwie po co? Zapominasz, że proste sprawy należałoby załatwiać bardzo zrywczo. Nie ma potrzeby komplikowania życia i sobie i innym.

WAGA 23 IX - 22 X

Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta... Znasz to przysłowienie? W twoim wypadku pasuje, jak ułali! Tyko że teraz jest już trochę inaczej niż dwa tygodnie temu, to znaczy sytuacja zmieniła się o 180 stopni. Trudno ci będzie wybrać, ale próbować musisz.

SKORPION 23 X - 22 XI

Mała samokrytyka na pewno by ci nie zaszkodziła. Zbytnie zadufanie gubiło nawet, jak uczy historia, wielkie państwa. Czas jeszcze na to, abyś próbował naprawić to, co zwykliśmy nazywać stosunkami międzyludzkimi. Oczywiście musisz nieco zmienić swój charakter. Mam nadzieję, że potrafisz, jeśli zechcesz.

STRZELEC 23 XI - 22 XII

Na razie jeszcze nie żałujesz. A nie żałujesz po prostu dlatego, że nie wiesz, co cię czeka i że

KOZIOROŻEC 22 XII - 20 I

Z dużej chmury mały deszcz. Nie masz co narzekać, wszystko rozszło się po kościach. Najbliższy okres bardzo pomyślny pod warunkiem, że będziesz się pilnować.

WODNIK 21 I - 18 II

Dobrze, dobrze! Wodniki przeżywać nieżyły okres życia. Wiadomość, której się nie spodziewasz, jeszcze bardziej poprawi twoje samopoczucie. Urlop też zapowiada się pogodnie. Słowem - sama radość.

RYBY 19 II - 20 III

Skończyły się błogie lenistwo, trzeba teraz solidnie wziąć się do pracy. Przed wszystkim nie walcz. Nie do ci pokazywać „co to ja”. Nikt nie lubi zarozumiałców. Jeśli wydadzisz wnioski z pewnych doświadczeń, wszystko może się ułożyć pomyślnie.

Stella